

BIBLIOTEKA
MIAŁOŚĆ PRAKTYCZNEGO
W ODRĘBNOŚCI

Uniwersytetu Gdańskiego
Biblioteka

CIV 9013 Cena zł 30

NUMER ŚWIĄTECZNY

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa 24 grudnia 1948 — 1 stycznia 1949 r.

Nr 52-53 (161-162)

TRZĘŚĆ NUMERU: Alia — Ochrona Dzieciństwa; A. Chciuk — Prosta kolęda; B. Ostromęcki — Noc Narodzenia; T. Parnicki — Cesarska Spowiedź; J. Meyszłowicz — Rok 1943; W. Kętrzyński — Kłóty Drogą; H. Guillemin — Francja w okresie „Rerum Novarum”; M. J. Kononowicz — Tańce; F. Śmieja — Ku zjednoczonej Irlandii; Film; D. Horodyński — Z notatnika podróży; Z. Lichnak — Nad Staffem; W. Pietrzak (Balk) — Lot jaskółek; A. Ge la — X. Dunikowski;

CHRISTUS NATUS EST



Narodziło się Boże Dzieciąt-ko. Narodziła się miłość. Źródło wszelkiej miłości i ostateczne ukojenie naszej potrzeby kochania.

Noc wigilijna jest świętem ufności. Jest świętem Wiary w Dobro. Dobro prawdziwe ostateczne i pełne stało się ciałem. Narodził się Chrystus. Miłość i Dobro ucieleśnione w Dzieciątku promieniuje z misterium betlejemskiego przez wieki. Promieniuje rodząc ufność w człowieka, budując ufność między ludźmi, budząc zaufanie do piękna i dobra stworzonego świata.

Wielu z ludzi, wielu z naszych braci patrzy na świat przerażonymi oczyma. Słyszymy rozzwieranie szat sprawiedliwych, słyszymy zgiek narzekania, widzimy oburzenie tak wielkie, że nie może znaleźć wyrazu. Na dzień zaś wszystkiego czai się rzecz najgorsza — duszący brak perspektywy — co będzie dalej — kiedy to się skończy — i poza tym jak to się skończy.

W wielu współczesnych domach wieczór wigilijny może stać się zapomnieniem o świecie rzeczywistym, bądź też może być nawet tylko nieudaną próbą zapomnienia o nim.

Wigilia w Polsce jest nie tylko świętem katolickim, ale także świętem narodowym. Jest świętem narodowym nie tylko przez pradawną staropolską tradycję kolęd i nawet nie tylko przez puste miejsca przy wigilijnym stole, miejsca tych najbliższych, którzy oddali życie dla Polski.

Wigilia jest świętem narodowym, ponieważ wraz z narodzinami Boga rodzi się co rok w Polsce umiłowanie Ojczyzny, następuje przypomnienie obowiązku służby dla dobra całego narodu.

Dziecina Boża uczy miłości — Polaków uczy kochać Polskę.

Kochać Polskę — powie wielu — oczywiście, ale jaki temu dać wyraz. Każą nam budować w Polsce świat sprzecz-

ny z naszymi przekonaniami. Nie wolno porywać cudzych błędów, nie wolno uczestniczyć w budowaniu, którego architektura nam nie odpowiada. Nie dosyć na tym. Wielu powie jeszcze — trzeba zająć stanowisko negacji, gdyż tylko taka postawa uodparnia nas przeciw zarażeniu się błędem obcej doktryny. To jest jedyny — powiedzą ci sami — dostępny jeszcze kon'retny sposób służenia Polsce.

Wigilia katolicka, wigilia polska winna w tym roku wnieść w każdy dom polski nastrój odpowiedzialności. Wigilia jest pamiętką największej prawdy więc musi się odbywać w atmosferze prawdy. Uczestnicy wigilijnego stołu nie mogą uciekać w krainę iluzji, ale muszą

pamiętać, że nasza uroczystość religijna, narodowa i rodzinna ma miejsce w kon'retnej rzeczywistości historycznej epoki i w konkretnej rzeczywistości Polski.

Decydujemy się powiedzieć: światopogląd nasz, światopogląd wywodzący się organicznie z wiary katolickiej stracił uprzywilejowanie. Dynamiki życia katolickiego nie strzegą instytucje państwowe. Jedynym zabezpieczeniem katolicyzmu jest jego prawda. Prześtańmy się czuć zaskoczeni, prześtańmy tęsknić do wygodnego bezpieczeństwa. Szklana szyba tradycyjnych uprawnień pękła. Światopoglądy się zetknęły, prześtańmy się bronić, a zaczynajmy przekonywać. Tytuł zostanie katolików — ilu będzie katolików świadomych. Tytuł

bedzie zdobytych dla katolicyzmu — ilu zwycięży pełnią swej prawdy. Nie pasjonujemy się tym czego wyznawcom odmiennej ideologii nie wolno byłoby czynić gdyby byli katolikami. Przejmijmy się tym, co powinniśmy czynić będąc katolikami. Tracić będziemy każdy posiadany aparat umacniający technicznie nasz światopogląd, o ile, aparat ten nie będzie służył apostolstwu prawdy naszej religii.

Trzeba mówić dalej jasno. Prześtańmy się dziwić, prześtańmy kłaść na karb przypadku, czy bezpośredniego działania diabła, że to nie my katolicy tworzymy historię współczesnego świata. Przecież to nasza katolicka moralność domagała się od dziesiątków lat walki o sprawiedliwość spo-

łeczną, walki o zniesienie wyzysku, walki o udostępnienie piękna doczesnego świata wszystkim ludziom. To my katolicy zdradziliśmy naszą katolicką moralność społeczną. Życie nie znosi pustki, walkę o nasze hasła podjęli inni, potęgą zdradzonej przez nas prawdy daje im zwycięstwo. Nie dziwny się tym zwycięzcom, przeciwnie szanujemy obcych nam światopoglądowo zwycięzców za to, że pociągnęła ich i porwała do walki społeczna prawda, która nas do walki o sprawiedliwość porwać nie zdołała.

Trzeba mówić dalej jasno. Na czym polega program „katolickiej kapitulacji”.

Ideologicznie kapitulantami są ci katolicy, którzy wiążą nie rozerwalnie naszą religię z ustrojem kapitalistyczno-liberalnym. Niewątpliwie łatwiej jest ułożyć stosunki z zagrożonymi posiadaczami niż z ze zwyciężającym, zafascynowanym potęgą własnej sprawy społecznym buntem. Trzeba jednak pamiętać, że bunt ten przede wszystkim dlatego zwycięża, ponieważ opiera się o społeczną i gospodarczą prawdę.

Psychologicznie kapitulantami są ci katolicy, którzy zdolni są tylko do oceny. Rzecz katolika jest oceniać gdyż katolik ma prawdziwe kryteria dobrego i złego. Ale rzeczą katolika jest oceniać po to, by działać.

Katolicy nie mogą być gromadą „ciotek mających za złe” historii ludzkości. Ocena musi rodzić czyn. I to czyn bardzo pokorny, którego moc polega na prawdzie. Wyzbądźmy się postawy zrutynizowanych sędziów, którym została pycha, a zabrakło autorytetu. Bądźmy rozsądni, nie dziwny się, że katolicy w sprawach doczesnych nie posiadają autorytetu. Wszak już dawno katolicy przestali zapewniać zwycięstwo swej prawdzie filozoficznej i moralnej w życiu publicznym. Nie wolno przeto samobójczo upraszczać zagadnienia dzieląc ludzi na rycerzy Chrystusa i wojsko szatana, tylko Bóg zna klucz tego podziału.

Wszystkim Czytelnikom i Sympatykom naszego tygodnika w dniu Święta Narodzenia Chrystusa Pana najserdeczniejsze życzenia składa

Redakcja, Administracja i Zespół „DZIS i JUTRO”

BIBLIOTEKA
MIAŁOŚĆ PRAKTYCZNEGO
W ODRĘBNOŚCI

201668 III

Dm 591 02

Prosta koleda

Koleda to jest prosta:

przyjdź dziś Jezu i zostań,

naucz zgody, miłości

i na nogi nas postaw.

Zejdź w dzień Swoich Narodzin

do nas grzesznych się rodzić

nie od święta — do szopki,

ale w serca — na co dzień!

Weź za rękę i prowadź,

ucz nas dobrze miłować.

Boga, Polskę i ludzi

w czynach, myślach i słowach.

ANDRZEJ CHCIUK

Noc Narodzenia

Ta gwiazda woła,

ta gwiazda woła tak nad tysiącami lat.

Ona się iskrzy i błyszczy. Kołysze się w blasku śnieg,

ludzie pod zorzą srebrną na mostach szyny dźwigają,

opodal kiedyś puch na stopy zmarzniętych ciał —

opada puch na ręce wartkie, paruje zimna stal,

most biegnie coraz szybciej — z brzegu na brzeg.

Ludzie na kratownicach, nad falą wzdętą przez wiatr

blask oglądają.

Huczy na mostach noc. Niebo iskrami pryska,

iskra spawaczy na szynach i Gwiazda Betlejemska,

zorza się rodzi z ognia — bije prąd,

na twarzy luna wschodzi,

plynie gwiazdami Wisła,

to Noc Narodzin.

To światło woła

i każdej nocy mroźnej nad czarnymi przesłami plonie

dla tych, którzy walczą o ludzkie mosty wysokie

z brzegu — na brzeg.

To światło pada na czoła,

iskrzy się śnieg —

Nadzieja

Nadzieja srebrnym uśmiechem wita zmęczonych.

BOGDAN OSTROMECKI

Radosnym, ale bardzo trudnym zadaniem nas współczesnych katolików jest spostrzegać w każdym człowieku i w każdym środowisku prawdę i z całą skromnością, ale i bezwzględnością prawdę tę czynić pełną.

Rozprawmy się wreszcie z ostatecznym argumentem. Argument jest taki: ten kto mówi, że marksiści mają rację w wielu zasadniczych założeniach społecznych, gospodarczych i politycznych — ten kto tak mówi, przyjmuje odpowiedzialność za to wszystko, co z punktu widzenia katolickiego jest błędem w doktrynie i praktyce marksistowskiej. Nie dosyć na tym, argument jest rozszerzony. Oponenti zadają konkretne pytania — czyż nie widzicie, że marksistom zależy na zastąpieniu u wszystkich ludzi światopoglądu religijnego i spirytualistycznego światopoglądem materialistycznym.

Odpowiadamy. Ludzie opierający powyższymi argumentami chcą znaleźć łatwe i złudne wytchnienie w próbie podziału społeczeństwa na tych którzy zgadzają się z tym co się dzieje i na tych, którzy się nie zgadzają. Podział taki jest kapitulanki. Zadaniem historyków jest wyjaśniać kto, na co i kiedy się zgadzał. Jedynie istotny podział pokolenia współczesnego leży między tymi, którzy tworzą to, co się dzieje, a tymi, którzy wpływ na bieg rzeczy nie mają. Światopogląd katolicki jest światopoglądem aktywności. Katolik nie może uciec od odpowiedzialności za współczesną mu historię.

Katolicyzm jako religia jest wieczny, niezagrożony żadnymi przemianami pok. Nie mają dla religii katolickiej zasadniczego znaczenia zwycięstwa jej przeciwników, nie mają też zasadniczego znaczenia przegrane popierających religię katolicką

państw i ustrojów. Kościołem kieruje sam Bóg — Duch Święty za pośrednictwem Papieża i Biskupów; kierownictwo religijne Papieża i Biskupów jest absolutne i dostateczne. Wierni mogą przyjąć tylko jedną postawę, postawę synowskiego posłuszeństwa.

Jest natomiast zadaniem świeckich katolików urządzenie świata doczesnego tak, aby o ile to możliwe pozostawał w harmonii z założeniami religii i tu trzeba pamiętać, że ustroj społeczno-gospodarczy wtedy tylko opiera się na prawdzie i sprawiedliwości, o ile zaspakaja potrzeby zorganizowanych w nim ludzi. Naturalne tendencje społeczeństwa popierają taki ustroj i niezależnie od trudności jego wprowadzenia w danej epoce historycznej w ostateczności zapewniają mu stabilizację. Katolicki ustroj społeczno-gospodarczy nie istnieje nigdzie w praktyce, a w doktrynie istnieje tylko fragmentarycznie jako korekta systemu liberalno-kapitalistycznego. Ustroj liberalno-kapitalistyczny zdradził potrzeby mas i jest obrazą katolickiego poczucia sprawiedliwości.

Socjalistyczny ustroj społeczno-gospodarczy ma największą zdolność do zaspakajania słusznych potrzeb ludzi pracujących. Życie społeczeństw prawem wewnętrznej logiki i tendencji socjologicznych rozwijać się będzie po linii socjalizmu. Katolicy mogą się oprzeć tylko na tym co jest żywe. Trzeba wkorzenie konsekwencje światopoglądowe religii katolickiej w socjalizm.

Nie stworzymy obrazu sielankowego, rysujemy drogę trudną, kosztowną i ofiarną. Trzeba się spotkać z socjalistami na bazie wspólnej akcji przeciwko niesprawiedliwości społeczno-gospodarczej sta-

rego świata. Trzeba jednak bardzo jasno powiedzieć, że w rozumieniu socjalistów bardzo do wolnie rozdzielamy ich system społeczno-gospodarczy od materialistycznych założeń światopoglądowych socjalizmu. Socjaliści nie odczuwają potrzeby przyjęcia naszego poglądu na świat, gdyż twierdzą, że mają własny. Socjaliści nie wierzą wreszcie, że związek między katolicyzmem, a ustrojem kapitalistycznym - liberalnym jest przypadkowy i paradoksalny.

Tym niemniej tendencje społeczne i gospodarcze socjalizmu opierają się o prawdę moralną. I dlatego aktywność katolicka wokół tych tendencji winna się koncentrować. Jest to zadanie trudne wymagające wielkiej przełomowej decyzji. Sprawa jest jednak taka prosta, płacimy zasłużoną cenę. Nie podjęto bowiem próby chrystianizowania socjalizmu wtedy, gdy wydawał się niegroźny i bardzo potrzebował pomocy.

Afirmując prawdę społeczno-gospodarczą socjalizmu, winni katolicy jednocześnie dążyć do przewyższenia doskonalszym ideałem błędnych z punktu widzenia katolickiego założeń doktrynalnych i praktycznych socjalizmu.

Niech Wigilia jako uroczystość religijna i narodowa nie staje się schronieniem zawiedzionych, rozczarowanych Polaków. Nie oczekujemy także cudu. Cud stał się już 2000 lat temu, ten największy w Betlejem. Cud ten obowiązuje do trwania w prawdzie, choćby ta prawda najbardziej niepokojąca, wstrząsająca nam się wydawała. Trzeba pójść za tendencją rozwojową społeczeństwa, trzeba pójść z życiem i życie to zdobyć dla Nowonarodzonego Boga. To będzie też najkonkretniejszy i najważniejszy sposób służenia rzeczywistości Pol-

Ochrona Dzieciństwa

Bajeczne, kolorowe obrazki Szopki, pełne najdziwniejszych postaci otoczonych aniołami, oświetlonych promiennym blaskiem, bijącym od Żłobka. Zapach świec i kadzidel. Wreszcie przytulny kąt w domu i choinka rozświetlona różnokolorowymi świeczkami — oto przebieg wspomnienia gwiazdkowe z czasów mojego dzieciństwa. Idylę tę mać tylko kiedyś zastyszana, dziś powszechnie zapomniana koleda.

Jezus Malusieńki
Cały nagusieńki
Placze z zimna,
Nie dała mu
Matula sukienki.

W sztuczny, czy prawdziwy nastrój spokoju i szczęśliwości ubija się ta nuta biedy, płaczu i krzywy ludzkiej, przypominając mimo wszystko, iż święto Bożego Narodzenia jest w pierwszym rzędzie świętem miłości bliźniego, a nie świętem miłości samego siebie, czy najwyższej swoich najbliższych.

Gdy Kościół przypomina, iż Bóg dobrowolnie oddał się w opiekę ludzką właśnie w tej dziecinnej, najbardziej bezbronnej postaci — trzeba sobie uświadomić, jak wielki ciężar odpowiedzialności spada nie tylko na rodziców, ale na każde społeczeństwo, na każde państwo, na całą ludzkość — a właściwie stosunek do problemu.

Problem dziecka najjaskrawszy, najbardziej polujący ze wszystkich tak zwanych humanistycznych pro-

blemów, jakie stoją dziś do rozwiązania, w obliczu dokonanego wielkiego przewrotu społecznego.

Jest dziś w Polsce sto sześćdziesiąt tysięcy dzieci kalek. O sto tysięcy więcej niż było w Polsce w roku 1929. A są dla nich jak dotąd dwa zakłady — jeden w Poświętnem, a drugi, dopiero organizowany przez Caritas dla uczczenia pamięci ś. p. Prymasa Polski — w Świebodzinie. A gdzie się mieści reszta kalek?

A ile jest w Polsce sierot, półsierot? Ile dzieci ułomnych, chorych, ile zagrożonych gruźlicą?

Potrzebny tu jest dalszy wysiłek społeczny, połączony jednak z wysiłkiem jednostek. Gdyby tak każda z naszych strojnych pań zechciała od czasu do czasu zakupić jedną sukienkę dla sieroty, gdyby tak od czasu do czasu zamiast kawiarni, czy knajpy przeznaczyły te marnowane pieniądze na potrzeby chorych dzieci... Gdyby tak urzędy przekazywały na cele opieki nad dzieckiem pieniądze zaoszczędzone przez likwidację biurokracji, przez skasowanie zbędnych wydatków „reprezentacyjnych“ — to może by znalazły się autobusy dla rozwózienia dzieci do szkół, środki na budowanie ośrodków Jordanowskich, klinik, szpitali, mądre pomysły sierotocinców, szkół, przedszkoli, poradni...

A ile dzieci utraciło w tej wojnie najcenniejszy skarb —

domy rodzinne? Tego też nie wiemy. A ciepła rodzinna nie odtworzy ani państwo, ani najaktywniejsza opieka społeczna.

W ciągu ostatnich lat waliły się nie tylko mury domów, pozostawiając rodziny tulaczemu losowi. W ciągu ostatnich lat dwudziestu społeczeństwa stały w obliczu najpoważniejszego kryzysu — kryzysu rodziny. Zniszczały nie tylko mieszkania, zwichnięta została równowaga ekonomiczna, wyrwoczone zostały w rodzinie wszystkie, ustalone przez tradycję, autorytety. Kto na tym cierpi najbardziej? Oczywiście dziecko, pozbawione dobra najcenniejszego — tej opieki rodzicielskiej, której nawet Bóg powierzył swe ludzkie istnienie. Odbudowanie, utwierdzenie rodziny w nowym tworzącym się świecie — oto jedno z najpierwszych zadań katolików. Zadań przede wszystkim społecznych. Bowiem nie zrażeniem, nie moralizowaniem, nie apodyktycznymi doktrynerskimi wypowiedziami, lecz rzetelnym wysiłkiem przede wszystkim poznania, a następnie zaradzenia obecnym trudnościom można rodzinę odbudować i wzmocnić.

Gdy będziemy zasiadać do stołu Wigilijnego, gdy dziecinne głosy zanucą cicho „Lulajże Jezuniu...“ — zróbmy wszyscy w cichości ducha rachunek naszych dotychczasowych osiągnięć w walce o los dziecka, każdego dziecka. Alfa

Teodor Parnicki

„CESARSKA SPOWIEDŹ” *)

Teraz Aron już naprawdę szczerze żałował, że nie położył uprzednio kresu spowiedzi. Oto zapuścił się wraz z Ottonem w taką gęstwinę tajników jego duszy, że żadnej już nie widzi możliwości wybrnięcia. Nie tylko jednak siebie oskarżał w myśli, ale i papieża. I nie tylko o to, że jemu takiemu niedoświadczonemu, takiemu bezradnemu powierzył tak trudne zadanie. Miał nadto żal do Sylwestra Drugiego, że ów go zupełnie nie pouczył, jak ma się ustosunkować do marzeń cesarza o porzuceniu świata, o oddaleniu się do pustyni. Przecież jako spowiednik, jako kapłan Chrystusowy, nie może nie wyrazić pochwały dla takich świętobliwych zamierzeń. Powinien by gorąco namawiać Ottona, aby poszedł za owym głosem swej duszy. Ale co stanie się z Imperium? Zachęcając cesarza, on, Aron, rozstrzygałby o losach tyłu królestw, o losach całego chrześcijaństwa. Jakież on ma do tego prawo. Skąd może wiedzieć, korzystne, czy zgubne następstwa dla cesarstwa pociągnie wyzwanie się przez Ottona władzy. Mąciło mu się w głowie. Z polecenia papieża, aby w czasie spowiedzi namawiał cesarza do wzięcia sobie małżonki, niedowzmacznie wynikało, że Sylwester Drugi zupełnie nie bierze pod uwagę marzeń Ottona o wyrzuceniu się władzy, o przeobrażeniu się w mnicha, czy pustelnika. Jak gdyby papież nie o tych marzeniach nie wiedział. Z tego wynikałoby, że Aron powinien odradzać cesarzowi wyrzucenia się świata i władzy. Ale czy wolno mu? Czy postąpiwszy tak, nie zgżeszby ciężko? Nie będzie mógł nawet dziwić się, jeśli Otton podniesie się z kolan już ostatecznie i odejdzie, powiedziawszy na pożegnanie: Nie jesteś godzien, by mnie spowiadać... nie jesteś godzien, by nazywać się sługą Tego, który rzekł możnemu młodzieńcowi: „Rozdaj wszystko, co masz i pójdz z mną”.

Opanował przecież zamęt myśli. W natężeniu szukał dróg wybrnięcia i wydawało mu się, że znalazł. Pogodzi tęsknoty cesarza z zaleceniem papieża jednym zdaniem i położy kres spowiedzi. Tak jest wyczerpany, jak nigdy dotąd. Więcej nie wytrzyma.

— Chwalebne są twe zamiary, synu. Ale powinienes iść za wzorami budującymi, jakie nam pokazuje przykład wieków minionych, a nie niedawne. Bazyliuszów greckich dzieje. Musisz wziąć sobie małżonkę, która urodzi ci dziedzica. Wychowasz go, przekazesz mu mądrość swoją i potęgę, poddasz jego władzy wszystkich tych, którzy tobie służą — wówczas dopiero spojny o losy Imperium — troskę, o które majestat Boży w twoje złoty ręce — rozłączysz się z małżonką, zdejmiesz z siebie diadem i purpurę, poświęcisz w pełni duszę swą Bogu. Mniemam, że może my zakończyć święty obrzęd pokutny. Wszystkies już wyznał grzechy, nieprawdaż?

Kiedyś w Rheims Aron wszedł na wieże obok kościoła Świętego Krzyża. Z zaciekawieniem i podziwem przyglądał się dzwonowi wielkiemu, którym nie bez słusności chlubil się arcybiskupi w Rheims przed całą Frankonią Zachodnią, a nawet przed całym chrześcijaństwem — w Anglii takich dzwonów Aron nie widział. Z obawą pociągnął za sznur — daremnie, dzwon żadnego nie wydał głosu. Opór ów podniecił Arona: tak długo ciągnął za

sznur, wszystkie swe wyciągając siły i całą zręczność, aż rozległo się wreszcie uderzenie, potem drugie, trzecie, czwarte, i oto doniosłe dzwonienie popłynęło nad miastem, budząc powszechne zdumienie i niepokój, iż w kościele dzwonią o tak niezwykłej, nieprzepisanej porze... zawstydzony, zalekniiony Aron usiłował przywrócić ciszę: na nie siły i zręczność, rozkołysany dzwon był mocniejszy od niego, wyrwał mu się nawet gwałtownie sznur z dłoni martwiejącej.

Rozkołysana dusza Ottona wyrwała mu się jak ów dzwon w Rheims. Natarła nań doniosła szumiącą falą wyznań, których szczerość nieprzeczuwana przerażała Arona. Była chwila, że chciał nawet zatkać uszy: wydało mu się, iż popęnia świętokradstwo, słuchając takich rzeczy o majestacie Ottonowym. To zaś, że słyszy je ze słów Ottona samego, potęgowało grozę, tym bardziej, że cesarz raz po raz przerywał sobie namiętnym, gorączkowym łkaniem. Wołał, że nie, nie chce, nigdy nie zechce, by mu jakakolwiek, choćby najdosłojniejsza małżonka, zrodziła dziedzica: nieszczone byłoby bowiem to dziecie, o tyleż słabsze i biedniejsze od swego ojca, o ile on, Otto, słabszy i nieszczęśliwszy jest od Ottona Czerwonego, a jeszcze bardziej od swego potężnego dziada, Ottona Pierwszego... Majestat zaś wspaniały i groźny Imperium światowładnego złączył się z mocą pełną szczerścią nie ze słabością... Myśl wspaniała Ottona III potrafiła ogannać dziedzictwo Romy, przedziwnej Romy, potężnej i posiadającej wszystkie tego dziedzictwa nakazy — zdołała wysnuć z siebie zamierzenia dumne, odrzodzić Imperium rzymskie mające, ale dokonanie owych zamierzeń za wielkie to brzemie dla biednej duszy Ottonowej... Aron dągnął przypomnieć sobie słowa papieża: „Niebawem zrozumiesz, jak biedna jest ta dusza, z którą będziesz rozmawiał, o ile zdołasz sprawić, by ci rozmawiać z sobą pozwoliła”. Owszem zdołał sprawić. Otto rozmawia z nim, mówi mu takie rzeczy, których nie chce słuchać, bo się słuchać — przerażają go, przyprawiają o dreszcz, o zamęt straszliwy... Mówi mu o tym, że Majestat Boży, zlitowawszy się nad słabością Ottona, a sprzyjając jego zamierzeniom szlachetnym, świętym, pełnym dumy — wskazał mu drogę — daleką, trudną, dotąd imieniu rzymskiemu obcą, ale jedynie prawdziwą drogę — taką, która go zaprowadziła w objęcia braterskie męża najpotężniejszego z potężnych — jednego, który godzien jest imienia Cezara Imperatora Augusta — jednego, czyje barki nie zachwieją się, nie drgną nawet pod ciężarem dziedzictwa Romy... Mężem tym — Patrycjusz Imperium, Bolesław, książę polski... teraz srebrne przed nim noszą orły, — ale poniosą złote... Poniosą... Otto tego pragnie. Otton tego dokona... i gdy dokona ze spokojnym sercem uda się do pustelni, by błagać majestat Boży o zmiłowanie nad jego biedną duszą, taką słabą, taką grzeszną... Nie, nawet nie będzie czekał tak długo: moc szczęśliwa Bolesława, przez mądrość wspaniałą papieża Sylwestra Drugiego wsparta, sama dla siebie wywalczy złote orły i diadem i purpurę i władzę nad całym okręgiem ziemskim... Niedługo już dzień, gdy świat cały ujrzy odejście Ottona do pustelni... Pójdzie na moczary poraweńskie do Romualda, pokutnika najsurowszego z surowych, albo jeszcze da-

leją... daleko, daleko... wzniesie sobie szałas pustelnicy na ziemi słowiańskiej, gdzieś najbliższej grobu, w którym spoczywa przyjaciel Ottonowy, święty męczennik, Wojciech Adalbert... — Oduś, oduś, Pa nie, służę twego w pokoju, bo utrudzon bardzo.

Aron znowu czuł silne tętnienie w skroniach, silny szum w uszach. Barbarzyńca słowiański nosicielem majestatu Romy. Syn nowo-chrześciana władcy chrześcijańskim? Przecież dobrze pamiętał, jak Dedi oburzał się i wygrażał, gdy ów Bolesław Patrycjuszem manowany został... Patrycjuszem tylko, nie Cezarem Augustem. Krzyczał, że zhańbione są srebrne orły gdy taką pierś zdobył. Srebrne nawet, nie złote. A cóż Ojciec Najświętszy myśli o tym. Nigdy nawet nie zająknął się o takiej możliwości. Przecież Bolesława nikt nigdy nie widział w Rzymie: przecież jutro w pochodzie uroczystym na Kapitol poniosą srebrne orły przed koniem bez jeźdźca na siodle. Ogarniała Arona rozpacz bez granic na myśl, że nie będzie mógł z papieżem mówić o zamierzeniach Ottona. Bolesława dotyczących, — bo na spowiedzi się o tych zamierzeniach do wiedział. Przerywanym głosem zapytał cesarza, czy nie uważa, że robi krzywdę plemieniu i rodowi swemu, odbierając im purpurę i diadem, a obcomu je przekazując.

— Przed obliczem majestatu Romy, światem całym rządzić powołanej — odrzekł Otto — nie masz różnicy między plemionami... A zresztą, ojcze, czyż Pan Niebieski nie odbrał dziedzictwa Izraelowi, by przekazać je poganom. Tak samo Roma odbrała władzę dziedzictwo swe Niemcom i Słowianom je przekazała... Westchnął ciężko. — Moje plemię, powiadasz — syknął boleśnie — jakież jest moje plemię, ojcze... Powiedz; jakie, jakie?

Znawu kłkał prawie. Znowu musiał go upomnieć Aron, by ściszył głos. Gorączkowo, namiętnie wołał, krzyczał nieomal: Niemcy go mają za Greka, Grecy za Niemca... Jest Rzymianinem, a Rzymianie widzą w nim barbarzyńce... — Jakie plemię jest moje? Jakie?! Jakie?! A mójród. Tak, tam w niebiosach, na prawicy Bożej z mają się może i boleją potężny Otto Pierwszy i Otto Czerwony. Ze diademem i purpurą z ich rodu do obcego przejdzie... Ale czemuż to oni — owi dwaj wspaniali Ottonowie — nie wzbłagali u majestatu Bożego, by silniejszego dał im wnuka i syna. A zresztą, co jest silniejsze: ród, czy potęga Imperium, w starym Rzymie cesarze, mądrością i potęgą najsławniejsi, nie w synach krwi swojej bynajmniej dziedziców upatrywali, ale odwrotnie, tych, kogo za godnych dziedzictwa uważali, synami swymi czynili... I on, Otto, także Bolesława polskiego synem swym uzni, choć wedle rad i mądrości i potęgi ojca ma w nim raczej... Oczywiście, mógł Otto postarać się, by od rodu jego nie odszedł purpura i diadem... mógł był, gdyby go wcześniej oświeciło natchnienie Ducha Świętego... Mógł by Matyldę, siostrę swoją, zamiast Herrenfrydy, Bolesławowi dać za żonę. Ale wówczas ciemny jeszcze był, pycha go zaślepiała plemienna: po społu z innymi głupcami wierzył, że nie godzi się oddawać córki cesarskiej nowo-chrześcianowi i Słowianinowi... Ukażał go Bóg za ciemnotę i pychę. Przyjechałszy do Gniezna pojął, że nikt nie jest tak godzien siostry jego, jak Bolesław, — ale za późno

było... Mógłby Adelheidę lub Zofię skłonić by klasztor opuściły — gniewałby się o to ten i ów opat czy biskup, ale nie zważałby na to, zmusiłby którąś z siostr, by wyszła z klasztoru — na nie jednak i to, bo Bolesław wziął sobie już tymczasem nową żonę, jakąś zupełnie niegodną jego wspaniałości i potęgi książęcej słowiańskiej... A może by skłonić go, by oddalił tamtą żonę, by wziął Zofię tak, jak ojciec jego Odę z klasztoru sobie wziął.

— Cały byś Kościół święty przeciw sobie i przeciw Bolesławowi, synu, podniósł — surowo rzekł Aron: — Podwójnie byście ciężki popełnili grzech...

— Może słusznie mówisz. Kościół święty musimy mieć z sobą — nie przeciw sobie — my obaj: ja i Bolesław... Ale przecież z majestatu cesarskiego dla krwi swojej uratuje — najstarszą córkę Matyldy i Herrenfryda weźmie syn Bolesława — niemowlę Rycheza będzie kiedyś Augustą — będzie — tak mi dopomóż Bóg.

Aron nie nazbyt uważnie słuchał jego ostatnich słów. Cały był w moc nową myśli, która przepełniła go radością nadzieją na wykonanie najważniejszego ze zleceń papieskich. — Synu, — rzekł z trudem tłumiąc w swym głosie radość: — skoro gotujesz się do wstąpienia na drogę ciasną, a uciążliwą, dokąd wzywa cię głos Syna Bożego słowami pisma: „Rozdaj wszystko co masz i pójdz z mną”, — winienes odsunąć od siebie kobietę, z którą obuzasz nie wedle prawa Bożego.

Otto wzniósł ku niemu pełne zdumienia i wyrzutu oczy.

— Czyżby Ojciec Niebieski, który ci ustami Pana Papieża nie odmówił przyjęcia do grona sług swoich, — miał ci odmówić daru pamięci, ojcze. Przeciżem niedawno ci rzekł, odsłaniając, jakoś żądał, najskrytsze tajniki swej duszy, — że nie mogę być bez Teodory Stefani.

Aron znowu poczuł się bezradnym, bezsilnym łowcą niedoświadczonym, co zabłądził w gęstwinie mrocznej, topiącej wraz z wyżłem zaszytego gdzie zwierza.

— Nie rozumiem ciebie, synu, — rzekł głosem pełnym największego znużenia, ale wciąż jeszcze zaciekawionym i natęczonym: — Za czynam się obawiać, że i tym sam nie rozumiesz po jak ciemnych, jakimi niebezpieczeństwami narażonych drogach błąka się twoja dusza.

— Może masz słusność, ojcze — cicho, pokornie odpowiedział Otto — ale czyż nie po to tu jesteś, aby mi dopomóc w wydostaniu się na światło z owych ciemnych dróg. Dopomóc w zgłębieniu tego, co sam w sobie nie nadto dobrze rozumiem.

Jeżeli Aron, pouczony przez Sylwestra Drugiego, przyrównywał się do łowcy zbrojnego, myśl Ottona do wyżła, a jego duszę do gęstwiny mrocznej, w której zaszyła się zwierza tropiona — musiał teraz ze smutkiem, prawie z rozpaczą powiedzieć sobie, że łowy zamieniły się w beznadziejne błędzenie po ostępach bez wyjścia, przy czym zwierzyna ucieka coraz dalej, coraz głębiej w gąszcz leśny — wyżł zrazu opomy i leniwy, ściga ją węchem coraz to lepiej wyostrzonym i zaciekłością niezmordowaną, — łowca natomiast chwycie się na nogach z wyczerpania, zgubiwszy gdzieś w krzewach całą swą broń myśliwską. On miałby oświecać Ottona, wskazywać mu drogę, po-

uczać. Cóż mógłby powiedzieć cesarzowi, gdy ów gorączkowym szepem zaczął przed nim ujawniać najgłębsze tajemnice stosunku swego ciała i swej duszy do Teodory Stefani. Sam się uczył, słuchając z zasłoniętą obu dłońmi twarzą przedziwnego — bluźnierczego, jak mu się wydawało — wymnania, że cesarz dopiero wówczas porzuci świat, gdy poczuje, że jest już mężem dojrzałym, nie dzieckiem. Stanie się zaś to wówczas, gdy będzie miał z sobą pełnię dumy, jaką daje poczucie osiągnięcia najwyższej rozkoszy, rodzącej się z obcowania z umiłowaną kobietą. Wobec tych wynurzeń Aron stawał bardziej bezradny i bezsilny, niż wobec czegokolwiek innego: O sprawach ciała i miłości wiedział przecież tylko tyle, co mu powiedziały książki, własne sny i wymnania Tymoteusza — ale te ostatnie jak najmniej były teraz przydatne. Tymoteusz kiedyś wierzył, że moc przedziwna, którą w sobie czuje, płynie z Teodory Stefani; ostatnio zaś wszystko przemawiało za tym, że źródło owej mocy dostrzega w stronienu od miłości kobiecej: wszak zbliżenie się do siostry ciotecznej Krescencjusza traktował ja ko utratę swej mocy. Otto także mówił o jakiejś mocy przedziwnej, którą czuje utajoną w sobie. Ale z użytych, nieporadnych, często mętnych i ciemnych wyznań jego wynikało, że właśnie w obcowaniu miłosnym z kobietą ta jego moc kształtuje się, rozkwita, potężnieje — jednak Teodora Stefania bynajmniej nie jest źródłem owej mocy, tylko narzędziem, pomocnym do wydobywania jej i potęgowania: narzędziem, bez którego Otto, jak powiada, nie może żyć, jak wojownik żyć nie może bez miecza. Dopiero zdobywszy królestwo, odzyskać może wojownik miecz; dopiero zdobywszy poczucie pełni mocy odsunie od siebie Teodorę Stefanię: poświęci się wówczas w pełni Bogu, ona niech zajmie się swymi dziećmi, albo niech też idzie do klasztoru. Otto oszałamiał Arona wymnaniem, że oto grzeszna samotność długich lat młodzieńczych — samotność, która się stworzyła dopiero wówczas, gdy otworzyła mu swe ramiona Teodora Stefania — tak silnie zahamowała rozkwit owej jego mocy przedziwnej, że chyba długie jeszcze upłyną lata, nim osiągnie pełnię rozkoszy miłosnej, a wraz z nią pełnię swej mocy. I rzecz najdziwniejsza: gdy Tymoteusza poczucie rozrostu mocy napawało coraz dumniejszymi marzeniami o potędze, coraz silniejszą wiarą, że zdobędzie wszystko, co zechce dzięki owej mocy — Otto przeciwnie żadnego jak gdyby nie pragnął mieć ze swej mocy użytku.

— Wbrew temu wszystkiemu, co Aron dotąd o nim wiedział — gorąco zapewniał swego spowiednika, że naprawdę nie, tylko nie snuje nowych marzeń, ale stanowczo zamierza wyzwać się wszystkiero, co dotychczas miał — wyrzec się natychmiast potem, jak ucieknie, że wraz z pełnią rozkoszy miłosnej osiągnął pełnię mocy. W pewnej chwili Aron pomyślał, że może cesarz pragnie użyć osiągniętą moc na walkę z własną duszą w trudnej drodze pokutnej ku świętości: na doskonałszej; nie jednak w słowach Ottona nie potwierdzało takiego mniemania, a przy tym Aron aż przeraził się tej swój przedot. j myśli jako bluźnierstwa: czyż bowiem godzi się duszy chrześcijańskiej czerpać pomoc na drodze ku świętości z sił zdobytych w grzesnym obcowaniu miłosnym z ciałem

*) Wyjątek z powieści „Srebrne Orły”

kobięcym. Otto zdawał się już nie czuć, że mu ścierpły kolana: z ust jego lał się niepowstrzymany strumień urywanych, powikłanych, coraz to bardziej mętnych zdań: istotnie wiele z tego, co on nie rozumiał, a jeszcze więcej chyba nie umiał przełożyć na jasne słowa. Aron postanowił wstrzymać ów potok, wznosząc bezlitosnymi, miazdzącymi słowami twardą i potężną jak mniemał tamę — czuł bowiem, że dłużej nie wytrzyma.

— Wszystko, co mówisz, synu, do wodzi tylko jak bardzo skłonny jesteś do grzechu pożądliwości ciała. A nie tylko grzeszysz — siejesz nadto zgorzenie. Mężowie rozumni, dostojni, choć i niegodni tego, by wolno im było zachwycić się wstępnym wtrącając się między tajemnice duszy cesarskiej — zdołali spojrzeć niezwykłym nadmiarem pożądliwości nawet w spojrzeniach swoich; choćby oto na przykład w owym spojrzeniu, jakim wpięł się w bosc stopy Teodory Stefani, gdy pierwszy raz stanęła przed obliczem Twojej Cesarskiej Włocności.

Umyślnie powiedział „Twojej Cesarskiej Włocności”, nie „zas”, „synu”. Wzywał Ottona w „opamiętał się, by powstrzymać swoje wynurzenia, by zawstydził się przed obliczem swego majestatu. Ale wymienienie tytułu więcej zdawało się od działywać na Arona samego, niż na cesarza. Oto wymówiwszy te trzy słowa, zmieształ się, struchlał, czuł, że traci całą przewagę, jaką z takim trudem uzyskał nad Ottonem: poczuł się nędznym nie nie znaczącym, mnicem przybłądą, bluźnierczo ośmielającym się przemawiać zuchwale do świętego majestatu.

Ze strachu aż oczy zmrużył na myśl, że Otto zaraz władczym, groźnym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem zażąda, by Aron wymienił zuchwałców, którzy odważyli się bezwstydnie omawiać spojrzenie, jakim święty, cesarski majestat raczył ongiś obrzucić bosc stopy Teodory Stefani. Ale omylił się, w odpowiedzi cesarza nie było groźby, ni władczego, tylko smutek i gorzoc: gorzko skarżył się na nieciosane przez Ducha Świętego, duże ludzkie dopatrujące się złościwie i prostaczo pożądliwości wszędzie tam, gdzie niczego innego na skutek swej ciemnoty i prostactwa dopatrzeć się nie potrafią. Nie oskarża ich, bo sam, choć wiele rozumie, nie potrafi należycie tego, co rozumie na słowa przełożyć, — ale pragnąłby, by ojciec czcigodny nie podzielał mniemania ciemnych prostaków. Więc choć trudno mu będzie, spróbuje wyjaśnić spowiednikowi, czemu istotnie w taki żar nadzwyczajny rzucił go widok bosych nóg przeprowadzonej przed jego oblicze, wspaniałej, urodziwej kobiety. Nie przesadzi w skromno-

ści: istotnie z trudem wielkim i nie zbyt szczęśliwie udało mu się wyjaśnić Aronowi sprawę owego rzekomo pożądliwego spojrzenia.

Jako dziecko Otto rósł w przeświadczeniu, że nic tak nie poniża dostojności wszelkiej, jak ukazanie się oczom ludzkim bez obuwia. — Aron stwierdził, że pod tym względem Otto nie różnił się niczym od owej młodzieży, która się bawiła wesoło nad stawem, opodał drogi Appijskiej. Zupełnie tak samo, jak owe chłopaki i dziewczęta uważała, że stopy swe obnażyć mu wolno, nie narażając się na poniżenie jedynie wśród swoich. Ale któż jest równy Cezarowi Augustowi. Od kad wyszedł z najwcześniejszego niemowlęctwa nawet w obecności sióstr nie pozwolił sobie nigdy na zdjęcie obuwia. Dobrze pamięta, że kiedy w Pawii dotknięto jego skroń żelazną koroną i w wózku uroczyste zawieziono do pałacu, gdzie w otoczeniu dworzaków czekała nań matka, — zaczął żalić się na ból w piecie: wówczas cesarzowa Teofania poleciła nawet hrabiemu Hołkowi, który króla na ręku zwykle nosił — by zechciał opuścić komnatę. Nikomu bowiem, twierdziła, nie wolno patrzeć, jak czterolemiemu królowi Niemców i Włochów, dziedzicowi rzymskiej korony cesarskiej zdejmie się z nóg obuwie: nikomu prócz matki i oczywiście pokojowców, którzy się przecież nie liczą, bo tym samym są, czym psy i koty. Toteż postanowienie, powzięte przez Ottona — przy wjeździe do miasta sowańskiego, Gniezna — iż bosc przejdzie siedem mil aż do kościoła samego, gdzie spoczęły zwłoki świętego męczennika Wojciecha Adalberta — zaiste najcenniejszym było dowodem ozi najwyższej dla pałacy umiłowanego przyjaciela i łaski szczególnej dla owej ziemi polskiej, którą świętość Wojciecha Adalberta pod swoją mżną zechciała wziąć opiekę. Gdybyż ojciec czcigodny zdołał pojąć, jak ogromna to ze strony cesarza była ofiara z własnej dumy: ile poniżenia doznał w myśli swojej, krocząc bosc po czerwonych tkaninach, jakimi usłał drogę do Gniezna Bolesław, wówczas lennik najwierniejszy, dziś przyjaciel i dziedzie umiłowany. Gdy więc Otto przed sobą zobaczył bosą Teodorę Stefanię, dwie nim na raz gwałtownie targnęły myśli: przede wszystkim przypomniała mu się matka, która też tylko przed nim, przed synem i cesarzem nie wstydziała się obnażać swoich nóg — wydało mu się nagle, że żadna kobieta, nawet żadna z sióstr, nie jest mu tak bliska jak ta oto, wspaniałości i uroku pełna nieznaną. Choć Aron z trudem podążał dotąd za biegiem myśli Ottona, następnym wyznaniem cesarza wywołało już tylko w jego duszy zamęt bezgraniczny: — Nie boję się mieczów, ni ognia, ni spisków zdradliwych — szeptał gorączkowo Otto: — ale zawsze bałem się kobiet: bałem się dzwoności ich piersi, bioder, włosów, oczu, uśmiechów, samego głosu kobiecego nawet... Zanim poznałem Teodorę Stefanię, dwukrotnie tylko zbliżył się do ciała kobiecego — zbliżyłem się ze strachem — odchodziłem ze strachem jeszcze większym.

Zmąciła się nagle krótko trwająca jasność słów cesarskich: jakąś się i płatał usiłując wytłumaczyć, że od obu kobiet odchodził nie tylko ze strachem, ale z okropnie męczącym poczuciem, że mimo całej wspaniałości i potęgi jego majestatu obie one wywyższyły się nad niego, dowiły z niego, gardziły nim i to, gdy odchodził, bardziej niż gdy się do nich zbliżał... Może dlatego później unikał zbliżania się do ciała kobiecych, choć istotnie stale do nich wracał myślą pożądliwą... może dlatego tak lubował się w grzesznej samotności... I to, że najprze-

dziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek znał, stanęła przed nim bosc — to ją poniżało w jego myśli, a poniżając, pozwalało wierzyć, że skoro tak jest poniżona nie może czuć do niego pogardy... nie może drwiąco wywyższać się ponad niego, jak wywyższały się tamte dwie, do których zbliżył się ciałem, jak wszystkie inne, do których w myśli się zbliżył. Oto, co go rzuciło w żar, oto, co kazało prostakom ciemnym w spojrzeniu jego pożądliwości się dopatrywać: a naprawdę w spojrzeniu tym zdumienie tylko ra dosne było — oto kobieta, która mu jest tak bliska, jak żadna nie była, prócz matki zmarłej i której nie potrzebuje się bać, bo nie czuje wobec niej poniżenia... A jemu tak potrzebna była bliska, bardzo bliska kobieta. Przecież naprawdę nikt go szczerze nie miłuje, nikomu nie ufa, w nikim nie czuje bliskości prawdziwej nawet w Panu Papieżu, mistrzu ulubionym... Grek dla Niemców, Niemiec dla Greków, barbarzyńca dla Rzymian, słabe dziecko przemądrzałe dla wojowników o duszach nieciosanych, prostak dla mędrców — tak bardzo jest samotny... tak straszliwie samotny... wszyscy niby służą mu, czczą go, a naprawdę albo nienawidzą, albo gardzą, o tym jedynie myśląc, by ze słabych ramion ciężką zedrzeć purpurę... I tylko ona szczerze mu jest oddana, ona — jedynie wierna, żarliwie go miłująca... Z jaką on trwożą bląka się zawsze po mrocznych, pustych komnatach swego pałacu, płacząc się w szatach wspaniałych, potykając się raz po raz i lekliwie obmacując każdy ciemny kat, każdą ścianę, czy nie czai się gdzie zdrada, lub stokroć straszliwsza od zdrady — drwina... krzepi go tylko światło, jakie pada przez szparę w drzwiach, wiodących do sypialni, gdzie wiernie nań czeka Teodora Stefania: oto zaraz otworzy drzwi, oto zobaczy blask przedziwny jej oczu, włosów i stokroć przedziwniejszy blask jej ciała, na jego przyjęcie miłośnie obnażonego. Dopóki nie poczuje w sobie siły męża, prawdziwie dojrzałego — siły, co sama w sobie wystarczy, co nie potrzebuje pomocy objąć kobiecych — nie odda Teodory Stefani, nie sohnosi się w pustelni... Musi wpraw nauczyc się nie bać samotności — gdybyś wiedział ojciec czcigodny, jak straszna to rzecz jest być samotnym.

Aron z trudem się powstrzymał, by nie krzyknąć: — Wiem..., dobrze wiem, cesarska Włocności... Nie masz to, jak być w gromadzie, być wśród swoich tak, jak nad stawem, opodał drogi Appijskiej...

**

Znowu żywił dla Ottona już tylko przyjaźń współczująca. Gdy udawał się do kaplicy, żywo wyobrażał sobie, że wypieków na twarzy dostając — ową chwilę, kiedy wzniesie się nad kornie pochylonym cesarzem rękę, zbrojną w potężną moc rozgrzeszenia. Przysięgałby, że rozpiąć go będzie duma bezgraniczna, iż oto majestat kapłański wyniósł go tak wysoko ponad tego, co nad całym przecież wznosi się okręgiem ziemskim. Nic się nie sprawdziło. Gdy podniósł rękę, wzywać zaczął miłosierdzia Bożego by przebaczenia, rozgrzeszenia od puszczenia udzieliło strudzonej duszy Ottonowej — gdy przypomniał majestatu Bożemu obietnicę daną kapłanom wszystkim, a więc i jemu, Aronowi, że „czyje grzechy odpuscicie, będą odpuszczone”, — doznawał jedynie uczucia radości, iż oto oddaje przysługę przyjacielską komuś, bardzo tej usługi potrzebującemu. I naprawdę szczerą radość zabrzmiła w jego głosie, gdy uczyniwszy znak krzyża nad posypaną popiołem jasną głową donośnie zawołał: odejdz w spokoju!

Jan Meyszłowicz

ROK TYSIĄC

Rok 1948 schodzi w przeszłość w powodzi słów. Produkcja słowa drukowanego, wypłotkowanego, wyrzucanego przez głośniki, wypowiedzianego na rozlicznych trybunach przewyższa o wiele produkcję artykułów, które ludzkość upiera się nadal uważać za artykuły pierwszej potrzeby. Slogany międzynarodowe stają się tym bardziej skuteczne i popularne im bardziej mogą oznaczać rzeczy różne, a nawet sprzeczne. Z tej powodzi można jednak i trzeba usiłować wyłowić zjawiska najbardziej istotne i trwałe, dostrzec najsilniejsze prądy, oznaczyć mielizny i głębokie na mapie naszych przewidywań i analiz.

Dwanaście miesięcy temu pisałem w Słowie Powszechnym „Podział świata na dwa bloki jest faktem dokonany. Rok 1948 będzie okresem ich konsolidacji”.

W powodzi słów tonie — w pierwszym rządzie Organizacja Narodów Zjednoczonych, której trzecie Zgromadzenie Generalne — obradujące od września do grudnia w Paryżu — ostatecznie obnażyło absolutną bezsilność tej instytucji. Przez całe trzy miesiące nie uchwalono jednogłośnie ani jednego, praktycznie wartościowego dla sprawy pokoju czy pozytywnego rozwoju stosunków międzynarodowych, wniosku. Podkreślamy słowo „praktycznie”, gdyż jednomyślnie zdarza się przy uchwalaniu czysto werbalnych wezwań w rodzaju pokojowej apostrofy Meksyku, czy stwierdzeniu o konieczności pokojowych stosunków dyplomatycznych pomiędzy Grecją a jej sąsiadami. Przy czym Anglosas wyjada się reagować na wszelkie zjawiska i problemy międzynarodowe w sposób mechaniczny: zajmują stanowisko zawsze odwrotne niż ZSRR. Jaskrawo wypukliło się to w czasie obrad nad natychmiastowym przyjęciem państwa Izraela do ONZ; USA popierająca szybko przyjęcie, głosowała za odroczeniem decyzji skoro Wyszyński ujawnił, iż ZSRR również popiera tę koncepcję. ONZ jest w tej chwili tylko kosztownym narzędziem do produkowania martwych słów.

Blok zachodni przybrał formę przymierza, podpisanego w Brukseli, w lecie br. pomiędzy Francją, Wielką Brytanią i Beneluxem (Holandia, Belgia i Luxemburg). Wspólnym szefem ztuba został marszałek Montgomery. Przymierze to, oparte o dolarowe zaplecze, z którego w postaci „marshallowskich” kredytów korzystają Włochy, Grecja, Norwegia i kilku pomniejszych klientów, jest w trakcie powiększania swego grona o Niemcy Zachodnie, (stanowiące bez mała 4/5 ogólnego potencjału Niemiec) zrodzone z rłów anglo-saskich polityków, niczym Atena z głowy Zeusa. Zdaniem Homera w Iliadzie Atena wyszła z głowy Zeusa w pełnym rynsztunku, gotowa do boju i już od razu groźna dla całego Olimpu. Słowo tak się tam do okruchów mego wyształcenia klasycznego przypomina mi się heksametr, który winien być znany niejednemu Brytyjczykowi karmionemu w młodości łaciną. „Quid-

quid agis, prudenter agas et respice finem” (Cokolwiek czynisz czyni ostrożnie i miej na względzie wynik końcowy“).

O ten wynik końcowy kłopotać się muszą szczególnie Anglicy, gdyż Imperium wyraźnie stoi u początku swego kresu. Prasa londyńska pisze „jesteśmy małym narodem, który bardzo zapobiegliwie myśleć musi o swej pozycji pośród innych wielkich narodów, o swym chlebie codziennym“.

Indie — te również szykują się obalić niedawno zdobyty statut dominialny. A Wielka Brytania gospodarczo jest za słaba, by istnieć sama. Wielkim Imperium trudno w krótkim przeciągu czasu zostać po raz wtóry — a nie mając wewnętrznych zasobów finansowych i materialnych trzeba zostać klientem. Rzym pożera Grecję. Anglia staje się klientem USA. Obcy potrafiła przekazać Janekom zalety i skarby swej kultury!

Decyzja Londynu i Waszyngtonu oddania zarządu i tytułów własności Zagłębia Ruhry poprzednim właścicielom podyktowała jest powolnością wobec Businessu oraz oportunistom. Chodzi o możliwie najszybsze postawienie na nogi kluczowych gałęzi produkcji niemieckiej. Jeśli pragnąc przyspieszyć budowę domu bierzemy sobie do pomocy znakomitemu majstra, będącego zarzem notorycznym i jakże dalekim od nawrócenia podpalaczem, to trudno się dziwić, że protestujący bezdomni przyszli lokatorzy domu Europa. Rej protestom wiedzy Francja, której Anglo-Amerykanie odpowiadają „Nie się nie bójcie, już my potrafiemy podpalacza upilnować“.

Nie trafia to do przekonania zainteresowanym. Francuzów, fatalnie rozdartych pomiędzy dwa wrogie obozy, łączy jedno tylko hasło: „Nie chcemy być ponownie uwolnieni!“. Właściwa i istotna treść tego hasła dominuje dzisiaj sytuację wewnątrz bloku zachodniego, bo w ostrze tego bloku jest skierowane przede wszystkim przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Największą siłą we Francji jest partia komunistyczna. Siłę tej przeciwstawieć nie można nie poza zamachem stanu partym z zewnątrz, a takie przedsięwzięcie jest bardzo, ale to bardzo, ryzykowne. Poza tym jak się tu zająć energicznie Niemcami Zachodnimi (a są tu i owdzie i inne kłopoty) skoro ma się pełne ręce brudnej roboty we Francji?

Trzecia siła we Francji, a w znacznej mierze i gdzie indziej, jest fikcją, żyjącą tylko dzięki dolarowej pożyczce. Wielkie nadzieje pokładane w swoim czasie w MRP okazały się ponne. MRP było koniunkturalnym zlepkiem.

Sytuacja wewnętrzna Francji — szarpanie się strajkowe, jakieś partyzanckie próby walki z jednej strony ze straszkami rewolucji komunistycznej, z drugiej z bardzo ciężką zależnością gospodarczą od USA — jest charakterystyczna dla państw zachodniej Europy. Stan taki nie jest łatwy dla obywateli i nie sprzyja odbudowie. Amerykanie po raz pierw-

KOMUNIKAT

W związku z planem urządzenia wystawy w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach (Kielce, plac Partyzantów 2-4) pt. „Ks. Ściegienny na tle epoki” przy poparciu Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w Warszawie, zwraca się dyrekcja Muzeum Świętokrzyskiego do wszystkich osób i instytucji posiadających jakiegokolwiek materiały i pamiątki związane z działalnością i życiem księdza Ściegiennego (1800—1890), a więc: portrety, inne obrazy, fotografie, szlify, odezwy, listy, autografy, rękopisy, książki, gazety i inne przedmioty z prośbą o wypożyczenie nam tych eksponatów na czas wystawy, ewentualnie zezwolenie na ich sfotografowanie. Dyrekcja Muzeum Świętokrzyskiego bierze na siebie odpowiedzialność za zwrot wypożyczonych przedmiotów w stanie nieuszkodzonym.

DZIEWIĘĆSET CZTERDZIEŚTY ÓSMY

szy w swym państwowym życiu stali się gospodarczymi dysponentami tak ogromnych polaci świata i ich imperializm gospodarczy, a więc i polityczny, egzekwowany jest jeszcze w najbrutalniejszy sposób (byłoby jak najprędzej zarobić jak najwięcej...), co objawia się w administrowaniu planem Marshalla, kiedy już nawet przewozy towarów amerykańskich muszą odbywać się na statkach USA, by ich armator zarobił, a nie Brytyjczyk czy Francuz. Imperializm też się trzeba uczyć, by jednąć nim sobie jeśli nie przyjaciół, to chociaż lojalnych obywateli, a nie ich jątzyć. Jątzyć to podnieca jeszcze war rewolucyjny, jakim ogarnięta jest zachodnia Europa, która jest jeszcze w tej chwili terenem walki socjalnej, walki o reformę społeczną, reformę socjalistyczną, jaka w krajach Europy wschodniej została już dokonana. Kraje, na których terenie toczą się walki: ustrojowa i polityczna, nie mogą mieć spokoju potrzebnego do odbudowy, bez której to znów odbudowy nie potrafią załagodzić, choćby trochę, swych wewnętrznych konfliktów socjalnych. Walka społeczna przybiera na sile. Z jednej strony strajki, z drugiej — pierwszy akt reprzywatyzacji nacjonalizowanych przed trzema laty kopalń francuskich, reprzywatyzacji dokonanych przez ministra należącego do partii socjalistycznej. W stanie tego wrzenia Europa Zachodnia trwać będzie tak długo, jak długo nie zrealizuje się tam rewolucja społeczna, gdyż raz obudzone siły prawdziwie rewolucyjne muszą znaleźć swe wypełnienie, nie zduśsi się ich. Takie jest prawo mechaniki dziejów.

Rewolucja dokonana została natomiast w krajach Europy Wschodniej. I rok 1948 był tu wszędzie rokiem jej dalszych, radykalnych, posunięć. Lutowe wypadki w Czechosłowacji i letnio-jesienne w Polsce, wszędzie przeprowadzone połączenie partii socjalistycznych i komunistycznych, wszystko to wzmoгло w tych krajach ruch ku socjalizmowi. Owo dokonanie rewolucji i mniej więcej ujednoczenie ustrojów dostarczyło ziemiom tym pokoju potrzebnego odbudowie. Oczywiście nie oznacza to wcale, by w każdym z tych krajów panował idealny spokój wewnętrzny. Przeciwnie, ostra walka klasowa i opór jej stawiany przez klasy likwidowane i nie obchodzi się bez dużych i ciężkich ofiar w ludziach. Jest to jednak walka typu jednostkowego a nie masowego, walka, która skutecznie acz ostro likwidowana w zarodku, nie burzy spokoju całego narodu, spokoju potrzebnego odbudowie.

Konsolidacja bloku pod egidą Związku Radzieckiego osiągnęła daleko idące sukcesy. Tempo i rozmach odbudowy gospodarczej, współpraca na wszystkich polach chronicznie onegdaj skłóconych sąsiadów rokuja solidne nadzieje. Jedynym poważnym dysonansem w tej harmonii jest schizma jugosłowiańska, na skutek której Belgrad znalazł się bez mała w całkowitej izolacji.

Euforia pierwszego okresu

nacjonalistycznego entuzjazmu. („My sami!” i inne slogany à la Zosia Samosia) rozdmuchanego retoryką silnej indywidualności marszałka Tito, ustępuje coraz bardziej miejsca, zwłaszcza w Krocacji, otrzeźwieniu i przynębieniu. Niezwykle ambitny pięcioletni plan gospodarczy Jugosławii, gdzie brak wszystkiego od fachowców do surowców, nie da się poważnie nawet zapoczątkować przy pomocy tylko uporu i tyrad. Był już w swoim czasie w Europie Środkowej pewien marszałek, który mawiał (o czym rychło zapomnieli jego uczniowie) że „nie należy skakać powyżej...”. Wydaje się rzeczą co najmniej nieprawdopodobną aby Jugosławia chciała lub mogła przejść do orbity bloku zachodniego, nawet po ewentualnym przystąpieniu Włoch do paktu bruk selskiego. Nie będzie zatem chyba zbyt śmiałym przewidzianie, że Jugosławia powróci na łono rodzimej konstelacji politycznej.

Rok 1948 przyniósł pogłębienie się antagonizmów między obu blokami, między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi („zimna wojna”). Polemiki ustne, prasowe i radiowe straciły wszelki umiar. W związku z sytuacją w Berlinie, wypowiedzi oraz niektóre posunięcia Londynu i Waszyngtonu przybrały charakter pogroźek. Trzy zachodnie strefy okupacyjne Berlina są dwu i pół milionową wyspą na terytorium okupowanym przez Zw. Radziecki, odciętą od swoich patronów i utrzymwaną przy życiu za pomocą samolotów. Wycofanie się Anglii i Amerykanów z Berlina byłoby oczywiście rozwiązaniem najprostszym. Obecny „most powietrzny” nie może trwać zbyt długo, a wyewakuowanie tym mostem ludności niemieckiej, z Berlina, aczkolwiek teoretycznie możliwe, wy daje się czymś fantastycznym. Anglii i Amerykanie zrobili jednak z Berlina kwestię zasadniczą i prestiżową. Obawiają się, że przeszło dwie trzecie narodu niemieckiego znajdującego się pod ich okupacją straci do nich zaufanie. Rzecz prosta, że Niemcy interesują się żywo poziomem wody w prestiżowym zbiorniku. Próba znalezienia wyjścia z impasu za pośrednictwem ONZ zawiodła nie tylko proceduralnie ale i politycznie. Nikt nie chce wy-

ciągać za wielkie mocarstwa kasztanów z ognia. Dyplomacja znalazłaby bez większego trudu wyjście, pozwalające Anglo-Amerykanom nie uciec przed prestiżem i wyciągać konsekwencje z faktu, że Berlin jest stolicą Niemiec zdobytą przez wojsła radzieckie, ale dyplomacja, będąc tylko funkcją polityki, jest bezsilna, gdy ta ostatnia cierpiąc na zawroty głowy, usiłuje chodzić po linie.

Chmury na horyzoncie międzynarodowym rozjaśnia największa tegoroczna sensacja; wybranie wyborów przez prezydenta Trumana, kandydata partii demokratycznej, który nie jest uważany przez swoich współobywateli za gwiazdę pierwszej wielkości. Zwycęstwo prawicy, republikanów Deweya, uchodziło za tak pewne, że zakłady stały na jego korzyść w stosunku 16 : 1. gazety brytyjskie wyszły w dniu wyborów z artykułami wstępami uzasadniającymi przegraną Trumana, a wśród plejady wybitnych zawodowców od opinii publicznej nie znalazł się ani jeden, który by stawiając na Trumana, pokusił się o zarobienie szesnastu dolarów ryzykując jednego.

Truman wygrał wybory osamotniony. Jego wybór nie ma, choćby zbliżonego, precedensu w historii Stanów. Walka przedwyborcza, jak to jest regułą w Stanach, toczyła się przede wszystkim na płaszczyźnie polityki wewnętrznej. Na tę sensację złożyły się różne, skomplikowane i nie zawsze dojące się uchwyteć przyczyny. Pewne osobne wnioski narzucają się jednak.

Wybór Trumana jest zwycięstwem lewicy amerykańskiej. Bezapelacyjnym dowodem, że nie zagrały tu żadne uboczne lub przypadkowe względy, jest fakt, że demokraci zwyciężyli w Izbie Reprezentantów i w Senacie. Lewica amerykańska jest zjawiskiem złożonym i odrębnym od naszych pojęć. Ale w Ameryce partia demokratyczna jest lewicą. Jej filarem są wciąż rosnące w siłę związki zawodowe. Klęska Deweya dowodzi, że nie można wygrać wyborów na prezydenta, mając przeciwko sobie tak zw. „organised labour”, to jest zorganizowane masy pracujące, które głosowały na Trumana.

Demokraci są u władzy już od 1932 roku i szanse powrotu republikanów do Białego Domu maleją, co znakomicie wzmacnia wpływy brytyjskiej Labour Party. Rząd premiera Attlee stanie do wyborów w 1949 jako zdecydowany faworyt. Ugruntowanie się rządów liberalno-lewicowych w Stanach zapowiada głębokie przemiany w ich strukturze politycznej. Równoległe ze zmniejszeniem się zasięgu republikanów, w łonie partii demokratycznej rosną będą tendencje rozłamowe, na prawe i lewe skrzydło. To ostatnie — amerykańska Labour Party — obejmie całość mas pracujących, oraz autentycznych lewicowców. Prawe skrzydło demokratów łączy się zapewne z republikanami, którzy dla utrzymania się na powierzchni mogą się pozbyć swych najsłabszych reakcjonistów.

W każdym bądź razie tylko fundamentalny przewrót może unicestwić w Stanach system dwupartyjny. Tym niemniej partia demokratyczna zawiera zbyt wiele elementów prawicowych aby, jak sądzę, mogła utrzymać przez czas dłuższy swoją — i tak bardzo względną — jednolitość.

Nie tylko jednak w Stanach góruje lewica. W wielkiej Brytanii socjalizacja, postępuje naprzód konsekwentnie. Jest to socjalizacja dość specyficzna. Ustrój gospodarczy W. Brytanii nadal opiera się przecież na eksploatacji bogactw naturalnych kolonii i pracy kolorowych obywateli Imperium. Sytuacja gospodarcza jest nadal bardzo ciężka i ograniczenia na każdym kroku są uciążliwe. Wielka Brytania nie powróci już do dawnej hegemonii ekonomicznej.

W Azji proces uświadomienia politycznego mas, zapoczątkowany już dawno i przyspieszony przez wojny światowe, rozwija się nadal gwałtownie, przy czym zarysowuje się już wyraźnie, szczególnie w Indiach i w Chinach, jego drugi etap, to jest ustępowanie dominujących dotychczas problemów nacjonalistycznych na korzyść problemów społecznych.

Triumfy militarne komunistów chińskich nie zaskoczyły nikogo. Już dwa lata temu eksperci amerykańscy z Marshallem (byłym specjalnym pełnomocnikiem USA w Chinach)

na czele doszli zgodnie do wniosku, że reżim Czang Kai Szeka nie da się utrzymać bez rewolucyjnie wielkich przemian, utrzyma w swoim posiadaniu nawet pod wodospadem dolarów. Być może Kuomintang jeden lub więcej przyczółków, ale Chiny bez Mandżurii rozwijając się gospodarczo nie mogą i jako całość należy je uznać za kartę przez Anglo-Amerykanów przegraną.

W ostatniej chwili donosi prasa o ustąpieniu z prezydentury Chin Czang Kai Szeka.

Wydać się to być końcem Chin kuomintangowskich a w konsekwencji końcem hegemonii Europejczyków i Amerykanów w Azji.

O reżimie amerykańskim w Japonii rzadko się wspomina w nagłówkach prasy światowej. Politycznie gen. MacArthur nie napotyka na większe trudności. Japończycy są potulni, pracowici i cierpliwi. Pod względem jednak gospodarczym bardzo wysoko uprzemysłowiona Japonia musi eksportować, aby związać koniec z końcem bez pomocy z zewnątrz, a naturalne jej rynki azjatyckie nie są już biernym odbiorcą.

Na tym samym kontynencie azjatyckim, ale w bezpośrednim zasięgu samolotowym z Warszawy, rok 1948 był świadkiem jednego z najciekawszych fenomenów współczesnych — powstania państwa Izraela w Palestynie. Znaczenie tego faktu jest większe dla Europy, i w ogóle dla diaspory, niż dla Bliskiego Wschodu. Jeszcze do niedawna twórców Izraela (które jak mi się wydaje będzie państwem socjalistycznym) zaliczano do nieuleczalnych marzycieli, a żydowskim siłom zbrojnym przepowiadano rychłą zagładę z rąk koalicji arabskiej. A jednak odniosły one kompletne zwycięstwo, które jest owocem krwi i poświęcenia żołnierza Izraela ale i zręcznej taktyki oraz wyczucia koniunktury i dopuszczalnego ryzyka przez polityków żydowskich. Planować trzeba umieć nie tylko dobrami materialnymi ale i bohaterstwem. Stabilizacja Izraela i przyjęcie go do ONZ jako pełnoprawnego członka jest tylko kwestią czasu — naród polski może mu tylko życzyć szczęśliwej przyszłości.

Zamykając ten bardzo pobieżny bilans spraw międzynarodowych w roku odchodzącym, pragnę wyrazić opinię, że stereotypowy i codziennie spotykany podział naszych rozmówców na optymistów i pesymistów jest tępym i nie dającym żadnej syntezy uogólnieniem. Trafność wniosków zależy od jasności intelektu, nastój natomiast w jaki te wnioski wprowadzają zależy od równowagi psychicznej i moralnej. Katolicyzm daje nam niezawodne środki dla jej utrzymania. Zbyt wielu jednak katolików, traktuje dzisiaj religię jako ucieczkę od stanięcia oko w oko ze światem naszego pokolenia, na którym, zgodnie z wolą Bożą, musimy sobie dawać rady.

Jan Meysztowicz.

Marek Antoni Wasilewski

Dwie Gwiazdy

Jeśli mówię: — gwiazda
To myślę: — szczęśliwa,
Betlejemska i jasna znalazaj się.
Jeśli mówię: — gwiazda,
I promień przypływa,
Widzę żłóbek i światłość ponad nim.
Gwiazdo Betlejemska
I Gwiazdo Zaranna,
Wy, zapalające ponad światem pokój,
Widzę was i słyszę
Anielskie hosanna,
Które ziemią całą przepętno wokół.
Panie, daj nam uwolnić
Nad domostwem każdym
Te gwiazdy, które blask swój przelewają
Gwiazdy, które by weszły
I nigdy nie zasły
Jak złota znad Betlejem i srebrna Zaranna.

Wojciech Kętrzyński

K T Ó R E D Y D R O G A

Może najtrudniejszym zadaniem dla publicysty jest zabieranie głosu w sprawach społecznych stanowiących przedmiot nie tylko powszechnych zainteresowań, ale i namietności, a nie przepracowanych należycie przez pisarzy i myślicieli. Napotyka się bowiem taki pionier — publicysta na gąszcz przesądów, nieporozumień, niejasności, musi operować pojęciami niedostatecznie zdefiniowanymi, albo co gorsza, zapożyczać się w pojęcia o obcym ideologicznie wydźwięku.

Nie ma na to jednak rady. Jesteśmy niewątpliwie zapóźnieni po wojnie w publicystyce katolickiej na odcinku oceny wielkich, ogólnoswiatowych przemian społeczno-ideowych. Siłą rozpędu poruszane bywały od czasu do czasu zagadnienia teoretyczno-ustrojowe. Były one rozpatrywane jednak w jakiejś utopijnej atmosferze, w przekonaniu, że problemy przemian społecznych można i należy analizować w oderwaniu od realnej oceny sił występujących dziś na światowej arenie. Można było w ten sposób precyzować zreby jakiegoś abstrakcyjnego ustroju, nie związanego jednak w niczym z dzisiejszą i jutrzejszą rzeczywistością polityczną i ekonomiczną, można było tworzyć programy, bez wyjaśnienia kto i jakimi siłami ma je wprowadzać w życie. Rzecz oczywiście tak pojęta twórczość koncepcyjną musiała się ograniczać do bardzo wąskiego grona intelektualistów, niezłownych nawet do rozpowszechniania swych koncepcji. Nic więc dziwnego, że przy tym nastawieniu publicystyka katolicka w ogóle reagowała bardzo słabo na bieżące problemy społeczne.

Najpłodniejsze są zawsze bez pośrednie zetknięcia i wymiany poglądów. W ciągu blisko czterech lat od końca działań wojennych nie było w Polsce ani jednego większego spotkania, studium, czy konferencji katolickich działaczy i pisarzy poświęconej omówieniu całokształtu współczesnej problematyki społecznej. Żadne z ogólnych, czy nawet szczegółowych zagadnień nie zostały wzięte na warsztat zespołowej pracy. Tym bardziej niechętna im była publicystyka, wyczuwająca własne nieprzygotowanie metodologiczne oraz brak dojrzałości własnych czytelników. Jedyna większa dyskusja toczyła się w początkach roku 1947 wokół problemu własności. Problem ten, potraktowany w oderwaniu od całokształtu współczesnych zagadnień ekonomicznych i społecznych utonął w jałowej dyskusji. Nawet taka koncepcja, jak „socjalizacja dochodu”, wysunięta wówczas przez Studentowicza została uznana za zbyt podejrzana, by mogła być przez publicystykę katolicką przyjęta.

Nie ukazały się po wojnie żadne poważniejsze prace katolickie, traktujące aktualnie o problemach społecznych. Jedynie dwie broszury — Turowskiego: „Gospodarka planowa w koncepcji katolicko-społecznej” i Kuźmicza: „Katolicy wobec przemian społecznych” nie doczekały się na łamach prasy katolickiej dostatecznie poważ-

nych omówień. Nie ukazało się ani jedno tłumaczenie z obfitej literatury społecznej katolickiej w językach obcych. Nie znajdzie zainteresowany czytelnik nawet omówień ważniejszych prac obcych na te tematy wydanych.

Z okazji rocznicy społecznych encyklik papieskich ukazały się w prasie katolickiej artykuły, które jednak nie wywołały pożądanej większej dyskusji.

Autor niniejszego w artykule „Konsekwencje Encyklik Społecznych” próbował podsumować w maju b. r. te rocznicowe wypowiedzi i przedstawić do dyskusji szereg generalnych wniosków. Jednak tradycja pomijania milczeniem lub lekceważeniem konkretniejszych wypowiedzi nie została i tym razem przełamana.

Wydaje się, że należy dziś owe wnioski ogólne raz jeszcze powtórzyć:

1. Analizując postawę społeczną historyków na przestrzeni ostatnich lat stu trzeba stwierdzić, iż panowały przemożnie tendencje konserwatywne, prawicowe. Ruchy społeczne nie znajdowały ze strony katolików dostatecznego poparcia.
2. Encyklika Rerum Novarum, inicjując program katolickiej działalności społecznej, żądając porzucenia powszechnej wówczas postawy konserwatywnej — nie napotkała się na dostatecznie pozytywny odzew wśród katolików ówczesnych. W rezultacie zmarnowany został okres koniunktury dla ujęcia w ręce katolickie inicjatywy na odcinku przebudowy społecznej i wybudowanie w świecie pełnowartościowego chrześcijańskiego ustroju społecznego.
3. W warunkach współczesnych nie istnieją rzeczywiste siły polityczne zdolne do wytworzenia i wprowadzenia w życie pełnowartościowego chrześcijańskiego ustroju społecznego. Polityczna działalność t. zw. „trzędziej siły” jest w rzeczywistości wiązaniem sprawy katolickiej ze światem liberalizmu i kapitalizmu.
4. Katolicyzm, nie wiążąc swojej sprawy z żadnym doczesnym ustrojem, musi być zdolny do Chrystianizowania współczesności. Chrystianizacja ta nie może dziś polegać na cofaniu się wstecz ku przemijającym formom ustrojowym libero-kapitalistycznym, jak i nie może wyrażać się w chęci ucieczki od rzeczywistości ku utopijnym i nierealnym koncepcjom.
5. „W naszych konkretnych warunkach, cytuję dosłownie ostatnią tezę, domagamy się właśnie przystąpienia do pracy od zaraz, przyjmując za punkt wyjścia te formy społeczne, jakie się obecnie wytworzyły. Widzimy w nich bowiem obok błędów do naprawiania, także i wartości, których utrzymanie jest również zadaniem katolików... Praca katolików w ustroju zsocjalizowanym jest być może trudniejsza, niż w innych. Wymaga zupełnie ponownego przemyślenia pod tym kątem widzenia tych „absolutnie niezbitych prawd moralnych, społecznych i gospodarczych”, stanowiących kwintesencję, nieprzemijającą wartość Encyklik”.

Konstanty Łubieński, precyzując w „Dziś i Jutro” w liście otwartym do redakcji Tybletu swój stosunek do problemu socjalizmu — wyciągnął pełne konsekwencje z powyższych pięciu tez generalnych. Zrobił to rzetelnie i odważnie, nie bacząc ani na owe przemożne tendencje konserwatywne, nurtujące do dziś dnia wśród katolików, ani na niebezpieczeństwo atakowania bezpośrednio tematów nieprzepracowanych, a więc narażając się swiadem i dobrowolnie na to, że będzie przez wielu źle rozumiany, a przez wielu w złej woli potępiany. Uważał, że czas już najwyższy precyzować problematykę społeczną, zerwać z abstrakcją. I uważał słusznie.

Światopogląd katolicki wyodrębnia się własną postawą ideową i posługuje się w ocenie rzeczywistości współczesnej własnymi normami. W tej płaszczyźnie nie ma pola do żadnych kompromisów. Istnieją jednak dziś nie trzy, tylko dwie siły polityczne, walczące o władztwo nad światem, dwie siły przeobrażające ustrój ludzkości według własnych koncepcji. Siłami tymi są — libero-kapitalizm po jednej stronie, a socjalizm po drugiej. Każdy katolik, który w imię własnego poglądu na świat chce uczestniczyć w procesie przeobrażania się świata — musi między tymi dwoma siłami wybierać. Nie ma innej drogi. Można tylko uciekać od rzeczywistości w „rajską dziedzinę uludy”, żyć w fikcji, ale taka postawa, niewątpliwie pociągająca dla słabych niezdecydowanych, jest sprzeniewierzeniem się swym obowiązkom. Jeśli bowiem nie będzie katolików w pracy i walce o nowe oblicze ludzkości — będzie ono jeszcze mniej chrześcijańskie od tego, który się obecnie rozpada? Najdalej jesteśmy przeto od rezygnowania z katolickiej aktywności w życiu społecznym, jak pragnąłby tego N. Mounier. Pragniemy natomiast, by aktywność ta polegała na realnej pracy nad tym, co dziś istnieje, a nie na uciekaniu przed rzeczywistością.

Podstawą naszych poglądów jest też przeświadczenie, iż katolicyzm jest siłą najpełniejszego innego rządu niż jakikolwiek ruch społeczny. Gdyby nawet najbardziej chrześcijański ustrój atakował Kościół w jego kompetencjach szerzenia Idei Chrystusowej — winien być potępiony. Natomiast katolik, mający na przykład do wyboru tylko dwa całkowicie pogańskie ustroje, winien wybrać jako teren swej aktywności społecznej ten, który buduje przyszłość. Tak uczył Chrystus mówiąc: „Oddajcież tedy co jest cesarskiego cesarzowi, a co jest Bożego Bogu” (Łuk. 20, 25).

Trzeba podkreślić z całą mocą, że to, co się dziś potocznie nazywa katolicką doktryną społeczną, nie jest integralnym katolickim wzorcem społecznym, a tylko programem przebudowy ustroju kapitalistycznego w duchu chrześcijańskim. Program ten, postawiony jeszcze przez Leona XIII w roku 1891 mógł zostać zrealizowany. Jednak nie został. Dziś obserwujemy upadek i rozkład ide-

owy świata libero-kapitalistycznego. Przez jakie siły jest on pokonywany? Przez siły skoncentrowane wokół idei socjalizmu. Na jakiej zasadzie, zapytuje, katolik ma prawo walczyć o nawrót do form społecznych i ustrojowych libero-kapitalistycznych, potępionych przez Encykliki Społeczne, choćby nawet było jego intencją rozpocząć spóźnioną już walkę o chrystianizację świata liberalizmu? Mniej dziwnym się w wątpliwościom tych, którzy żyją jeszcze w ustrojach kapitalistycznych. Uważamy natomiast, że katolicy, którzy żyją w ustrojach zsocjalizowanych zobowiązani są już dziś rozpocząć pracę nad ich chrystianizacją. Tej pracy zaś rozpocząć się nie da, nie stanawszy uprzednio samemu jasno i otwarcie na płaszczyźnie społecznej socjalizmu.

Wiem, że jest to decyzja trudna, i nikomu nie wolno jej podejmować bez głębokiego jej przeżycia. Wiem, że decyzję taką wolno podjąć tylko z pełną świadomością, że w tę sprawę nie wolno angażować autoritetu Kościoła Katolickiego, tak długo jak on sam nie poweźmie decyzji. Wiem wreszcie, że nikt rozsądny nie może prorokować przebiegu walk politycznych dziejących się na świecie. Wiem jednak też że treścią społeczną nowego, tworzącego się dopiero świata nie będzie libero-kapitalizm, który swą epokę przeżył. Będzie nią idea socjalistyczna taka, jaką my ją sami ostatecznie wykujemy. Te ostatnie słowa są nie wątpliwie herezją dla marksistów, którzy sądzą, iż socjalizm jest zdefiniowany, zrealizowany i nieodmienny. Podstawą naszego myślenia jest jednak przekonanie o dynamiczności idei socjalistycznej.

**

Ani jeden, ani dwa artykuły nie wystarczą, by precyzować stosunek katolika do socjalizmu w dzisiejszej epoce. Artykuł Łubieńskiego tego tematu nie wyczerpał. To wielka praca do dokonania. W pojęciu „socjalizm” krzyżują się dla nas w tej chwili liczne problemy światopoglądowe, społeczne, ustrojowe, etyczne. Poza tym wszystkim jeszcze istnieje dziś ważki w swych konsekwencjach fakt, iż socjalizm prowadzi walkę z kapitalizmem na śmierć i życie, i że walka ta przeobraża zupełnie jego oblicze.

Jakkolwiek by jednak chcieć precyzować stosunek nasz do socjalizmu — trzeba zachować pełną świadomość tego, iż przyjmując jego płaszczyznę jako podstawę działania społecznego — obciążamy się częścią odpowiedzialności zarówno za przeszłość, i teraźniejszość, a nie tylko za przyszłość. Odpowiedzialności, rzecz oczywista, moralnej, a nie politycznej.

Stosując wiernie obowiązujące nas kryteria chrześcijańskie, musimy nie tylko odrzucić kategorialnie metafizykę materialistyczną, na której chce budować swój światopogląd socjalizm, lecz musimy wnieść jeszcze szereg innych, niemniej zasadniczych etycznych zastrzeżeń. Byłoby jednak gestem pitagorskim, gdybyśmy jednocze-

śnie umyli ręce i nie wzięli na siebie, jako katolicy części odpowiedzialności za fakt, iż w ten a nie w inny sposób rozwijała się w ciągu ostatnich stu lat socjalistyczna koncepcja świata. Jeśli bowiem dziś możemy stwierdzić, iż w wieli punktach światopogląd socjalistyczny oddalił się od chrześcijaństwa — to musimy rzetelnie odpowiedzieć na pytanie — jaki był stosunek społeczeństw chrześcijańskich do sprawy mas pracujących wówczas, gdy te masy, w najcięższej walce wytworzały dopiero własną ideologię i własne plany walki o reformę społeczną?

Pytanie to już postawił wielki francuski działacz społeczny XIX wieku Albert de Mun: „Czegóż dokonało to społeczeństwo praworządne w ciągu tak długiego czasu, gdy przedstawiało sobą prawo i porządek, by dać ludowi zasady moralne, by obudzić i urobić jego sumienie, by siłą sprawiedliwości uczyszczyć skargi jego cierpień? Czy klasy będące u władzy wykazały się działalnością chrześcijańską która by dobrym przykładem mogła oddziaływać na klasy pracujące? Pytania te cisnęły się same z całą siłą do naszych umysłów wśród niepokojących codziennych wydarzeń”.

A współczesny mu kardynał Ferrata, odpowiada w imieniu ówczesnych katolików w swych pamiętnikach — „Religia wydawała się w oczach mas narzędziem polityki, monopolem arystokracji, niaruszalną własnością zwolenników „ancient regime”.

Trzeba znać historię i potrafić z jej treści wyciągnąć wnioski. Trzeba wiedzieć jaka była postawa elity katolickiej w stosunku do problemów społecznych w XIX i w początkach XX wieku we Francji, w Niemczech, w Austrii, w Hiszpanii. Trzeba wiedzieć w jak znikomej mniejszości znajdowali się wówczas głosiciele idei Leona XIII i Rerum Novarum, jak zaciekłe byli zwalczani. Jeśli się chce zrozumieć ewolucję socjalizmu trzeba wiedzieć, jaką była rola katolików we Francji w dniach Komuny Paryskiej, w popieraniu monarchistycznych zamachów stanu, w szczuciu społeczeństwa w dniach tragicznych Dreyfusa. Trzeba znać to wszystko wcześniej, nim się osądzi ostatecznie dzieje walki mas pracujących o ich najświętsze prawa. I dziś, gdy się chce sądzić tę walkę i jej metody, to w pierw trzeba odpowiedzieć na pytanie — czy się w zasadzie z ideą tej walki solidaryzuje, a następnie, czy bierze się na siebie część odpowiedzialności za przeszły stosunek do niej społeczności katolickich. Dopiero wówczas, gdy się na oba pytania dało niewązniczną odpowiedź — można nabrać praw moralnych do krytyki. Nie wcześniej.

**

Nie wolno wreszcie tragizować samego problemu. Nie po raz pierwszy w dziejach katolicyzmu przychodzi katolikom rozstrzygać o swoim stosunku do nowych prądów społecznych, do nowych koncepcji ustrojowych. Wielka nieprzeżyta ciężka siła katolicyzmu polega na tym, że potrafi on reali-

zować swoje cele w każdym ustroju, nie stając się jednocześnie społeczną kontr-rewolucją. Tak było w starożytności, tak było w średniowieczu, tak było po raz ostatni właśnie w XIX wieku, gdy wskazania Leona XIII żądały od katolików zerwania ostatecznego ze sprawą monarchizmu i z przemykami ustroju feudalnego, gdy żądał on szczerego i uczciwego stanięcia na płaszczyźnie demokracji parlamentarnej.

Trzeba znać własną historię. Wszyscy, którzy dziś napotykają na trudności określenia swego stosunku do współczesnych prądów społecznych winni szczegółowo zapoznać się z kryzysem, jaki przeżywały, konserwatywne w swej olbrzymiej większości społeczności katolickie w wieku XIX. Przekonają się wówczas, że tak jak i dziś, wielu nie chciało po prostu uwierzyć, by idee chrześcijańskie mogły się mieścić i działać w nowym wówczas ustroju. Wielu katolików nie wyobrażało sobie, by katolicyzm mógł istnieć w innym ustroju, jak w monarchistycznym, by mógł rozwijać się w oparciu o inne warstwy społeczne jak o arystokrację, w najgorszym razie z rozszerzeniem bazy społecznej o niektóre bogatsze środowiska mieszczańskie. Wołano na alarm, posądzano o zdradę, mówiono o „czerwonym papieżu”, ba, odmawiano posłuszeństwa dyktawom papieskim. A jednak okazało się w rzeczywistości, iż istotnie ani Kościół, ani katolicyzm nie jest związany z określonym ustrojem społecznym, okazało się, że, nie bez ciężkiej walki zresztą, Kościół wyrobił sobie w tym „nowym, starszym świecie” pozycję. Dziś, gdy właśnie ten ustrój, który lat temu pięćdziesiąt był przez tak wielu katolików wyklinywany, wali się w gruzy, nowe pokolenia konserwatywnie nastawionych katolików w nim tylko widzą możliwość egzystencji, z nim wiążą bezapelacyjnie przyszłość Kościoła.

W roku 1876 pisał w swym liście pasterskim jeden ze świętějších francuskich biskupów Cuilbert: „Chcieć związać, czy identyfikować religię z jakimś systemem politycznym, z jakimś ustrojem — czyż nie oznacza to kompromitowania oburzającego Kościoła i kleru, przy jednoczesnym popełnianiu najjaskrawszego błędu”.

Jeśli w tym czasie papież Leon XIII mnożył swe encykliki — „Nobilissima Callorum”, „Immortale Dei”, Rerum Novarum, Sapientia Christiana, Graves de Comuni, jeśli tylkrotnie przestrzegał i nawoływał, to dlatego, że zdawał sobie nadto dobrze sprawę z tego, że prawdziwą walkę o naprawę liberalistycznego ustroju parlamentaryzmu i kapitalizmu będzie mógł katolicyzm rozpocząć dopiero wówczas, gdy katolicy rzeczywiście staną na gruncie demokracji. Opory konserwatywnej większości uniemożliwiły rozpoczęcie na czas tej walki.

Dziś nawołujemy do nie przecenia ponownie chwili historycznej. To nie ma nic wspólnego z kapitulacją, z porzuceniem chrześcijańskich ideałów, jak się czasem małoduszny wydaje. Przeciwnie, nawołujemy do walki o nie. Nawołujemy natomiast i to zupełnie świadomie do porzucenia postawy społecznej bierności, do porzucenia nawyków konserwatywnego myślenia.

Henrik Guillemin

Francja w okresie „Rerum Novarum”

Działalność społeczna Leona XIII w latach 1890 — 1900, której najmocniejszym wyrazem była Encyklika Społeczna „Rerum Novarum”, dotyczyła dwóch zasadniczych problemów. Jednym z nich była krytyka błędów społecznych kapitalizmu, wywodzącego się z dziewiętnastowiecznego liberalizmu. Drugim, niemniej ważnym, a dziś często przeoczonym była walka o wyrwanie katolików, żyjących w ustrojach demokratycznych z kręgu wpływów konserwatywno-monarchistycznych. Wielki Papież zdawał sobie bowiem sprawę, że nie wcześniej będą mogli katolicy przystąpić do walki o naprawę u-

stroju, póki sami nie zerwą z konserwatyzmem i nie staną jawnie na gruncie demokratycznego wówczas ustroju republikańskiego.

Podczas, gdy wojska francuskie otwierały ogień na strajkujących robotników w Fourmies, (1 maj 1891) — Leon XIII szykował się do ogłoszenia swiatu Encykliki „Rerum Novarum” (15 maj 1891).

Należałoby właściwie przedstawić cały ten pierwszorzędną wagę tekst. W swoim czasie zrobiono wszystko, by go zagłuszyć. Jeszcze i dziś znajduje się wielu, których ogarnia zdumienie, gdy się przypadkiem zapoznają ze słowami Papieża. Nie było w nich przecież nic takiego, co by nie było ściśle zgodne ze stałą nauką Kościoła. Jednak odchylenia i zdrady „wiernych” były tak znaczne w ciągu wieków, że najprostsze przypomnienie prawdy wydawało się wówczas rewolucją. Kościół bowiem zawsze podtrzymywał uparcie swe potępianie zasady pożyczania na procent. Sprzedawanie rzeczy nie istniejących (quod non est) było jeszcze przez św. Tomasza wytknięte. Przez Kościół przewidziany jest wypadek „konieczności”, gdy zgłodziłyby ma absolutne prawo moralne do wzięcia tego, czego mu odmówiono, a co mu do życia jest niezbędne. Istniało także zawsze zasadniczej wagi stwierdzenie św. Tomasza o stosunku do zagadnienia używalności dóbr doczesnych i owoców ziemi (Sec. Sec. 9.66.a.2): „Non debet homo habere res exteriores ut proprias sed ut comunes”.

Leon XIII w swej Encyklice „Rerum Novarum” ukazywał „robotników odosobnionych i bezdomnych, oddanych na łaskę i niełaskę nieludzkich pracodawców”: „Po jednej stronie grupka ludzi, która panując całkowicie nad handlem i przemysłem, odwraca prąd bogactw i skierowuje ku sobie wszystkie ich źródła, grupka, skąd inną trzymająca w swym ręku większość sprężyn administracji publicznej, po drugiej zaś stronie masy o duszy zbolalej”. Papież wnosil potępienie tego systemu „nieokreślonej konkurencji”, który się nazywa „liberalizmem”: „czyż można mówić o wolności, gdy pracownik jest zmuszany przez głód „przyjmować warunki (pracy i pracy), których nie może odrzucić” jeśli nie chce umrzeć z głodu, a które mu są „narzucone” przez pracodawcę? Czy to jest wolnością? Nie, przeciwnie, „gwałtem, przeciw któremu oburza się sprawiedliwość”. Ojciec Święty przypominał, że „liczba” była niestannie „uprawiana przez ludzi zachłannych”. Odsłaniał w pełnym świetle proceder „tej niewielkiej liczby bogatych”, którzy, władając „monopolem pracy i zysków handlowych”, „narzucają niemalże niewolnicze jarzmo nieskończonym tłumom proletariuszy”.

Leon XIII piętnował „spekulantów, którzy nie rozróżniają człowieka od maszyny” wyzyskują pracujących, „aby zadowolnić nienasyconą chęć zysku”. Wymagał, aby każdy, korzystający z pracy drugiego „szanował w nim godność

człowieka”; i dodawał: „jest niegodnie i nieludzko używać robotników jako marne narzędzia zysku i cenić ich jedynie w stosunku do mocy ich ramion”. Czyżby katolicy zapominali jakie warunki społeczne Jezus Chrystus wybrał sobie, by żyć na tej ziemi? Będąc robotnikiem żył pracą robotniczą („Opere fabrilis”).

„Sprawiedliwość społeczną”, stwierdziła wreszcie Encyklika, „jest jednym z celów najistotniejszych władzy publicznej”. Narodowy rozwój ekonomiczny to „praca robotnika, praca w polu i w fabryce, będąca tego głównym źródłem „Non aliunde quam ex opificio labore gigni divitias civitatum”. Państwo, które „z racji swojej funkcji winno służyć dobru powszechnemu” (św. Tomasz, Prim. Sec. 9.96. a.3.) ma więc nie tylko prawo, ale i obowiązek czuwać nad losem klasy robotniczej; może ono tego dokonać w pełni swych prerogatyw i w bezspornym oparciu o swój autorytet, (iure suo optimo). Jest ono tym bardziej zobowiązane, że „klasa posiadająca czyni sobie twierdzę ze swego bogactwa”, podczas gdy klasy pracujące i potrzebujące pozbawione są w rzeczy samej wszelkiej osłony; „Niechże więc państwo stanie się więc w sposób szczególny opatrnością pracujących”.

W środowiskach prawicowych Encyklika „Rerum Novarum” wywołała daleko idące zdumienie. Była ona istotnie uroczyście nagana, wydana przez autorytet na „wyższym, tego stanu rzeczy, z którego korzystała z dawien dawna katolicka prawica. Zamieszanie, które Ojciec Święty wywoływał w ich bezpiecznych synekurach, oskarżenie rzucone na system, dzięki któremu osiągałi swe wielkie bogactwa, to wszystko zostało przyjęte przez nich nieomal ze zgorzaniem. Wielu z nich doszło do takiego stopnia nieświadomości, że byli gotowi uważać wezwanie Ojca Świętego do zajęcia wreszcie postawy katolickiej, jako nieomal „nadużycia zaufania” z jego strony.

Leon XIII był ponadto zdecydowany wystąpić jednakowo energicznie w dziedzinie ustroju politycznego i swobody wierzących na tym polu. Sprawa ta, jakkolwiek w istocie rzeczy najzupełniej oczywista, została celowo zaciemniona przez monarchistów. 10 stycznia 1890 roku w swej encyklice „Sapientia Christiana” Leon XIII przestrzegał monarchistów raz jeszcze, że „wykorzystywanie Kościoła przez partię, lub dążenie do wyzyskania go jako sprzymierzeńca dla uzyskania zwycięstw nad przeciwnikami (politycznymi) — to nadużycie religii”. W październiku tegoż roku rozmawiał długo Ojciec Święty z kardynałem de La Vigerie i o konieczności jak najszybszego doprowadzenia do zmiany postawy duchowieństwa francuskiego, i by ono

przystało identyfikować sprawę boskiej ze sprawą monarchii. 12 listopada wygłosił La Vigerie w Algierze owo słynne przemówienie, ustawię go formalnie po stronie Republiki. Słowa jego, wygłoszone wobec sztabu eskadry, wydały się obecnym oficerom marynarki, w znacznej większości monarchistom — oczekiwistą zdradą. Admirał dowódca eskadry uznał za właściwe w swej odpowiedzi nawet słowem o Republice nie wspomnieć. W prasie prawicowej natomiast zerwała się istna burza. Pisano o przemówieniu Kardynała „dobrze podlanym winem”, o „czynnie niepożytecznym”, o „nie godnym potępienia”. Pocięta no konserwatywną klientelę, że byłoby naiwnością doszukiwać się wpływu Papieża w tych „kartagajskich fantazjach”. Kardynał otrzymanywał tuzinami ubliżające listy, papier niektórych z tych „prawomyślnych” pism był powalany gnojem. Szlachta i bogatsze mieszczaństwo wycofało coroczne dary, składane dziełu opieki nad arabskimi sierotami. Keller²⁾ zgłosił swą rezygnację z paryskiego Komitetu do Walki z Niewolnictwem, by nie zasiadać tam razem z „Punijczykiem”, a 20 grudnia w Senacie — markiz l'Angle-Beaumanoir zażądał cofnięcia uposażenia „dla tego prałata, który uprawiał politykę poza ramami działalności papieskiej”.

Episkopat francuski był wstrząśnięty. Biskup Trojaro, okazywał jawnie swój gniew, a biskup Freppel oświadczał kategorycznie w piśmie „L'Anjou” — „żadne zaproszenie, skądkolwiek by przyszło (do zgody z demokracją), nie zmieni naszego stanowiska”. Jeden tylko biskup wysp Reunion — Fuzet wystąpił w obronie inicjatywy La Vigerie. W swym liście pasterskim z 24 listopada 1890, pisany z Rzymu podkreślał „konieczność w jakiej się znajdujemy, by w wyższym interesie Kościoła wyzwolić się z wpływów partii monarchistycznych”, które zresztą, „zapominając prawa sumienia posuwają się nawet do posługiwania się uwłaszczonej bronią korupcji”. Wypominał owe „szkodliwe przymierze” katolików francuskich i monarchistów, które „czyni bezsilną naszą pracę w masach, odbierając nam popularność”. Naszymi bowiem zadaniem jest, dodaje, ożywiać bożym duchem, który w sobie nosimy, nowy świat, powstający w tym wieku”.

Monarchiści francuscy nie chcieli zresztą jeszcze wierzyć, by Leon XIII był naprawdę zdecydowany myśleć więcej o przyszłości wiary we Francji, niż o ich osobistej wygodzie. Książę Paryża (pretendent do tronu z linii Orleańskiej; przyp. tłum.) wysłał do Stolicy Apostolskiej pułkownika Parseval, z żądaniem wytłumaczenia Ojcu Świętemu, jaką wagę ma dla sprawy Kościoła poparcie konserwatystów. Zaś rektor Instytutu Katolickiego biskup d'Hulst, osobiście bardzo nieprzyjazny wobec tego, którego nazywał tylko „Afrykańczykiem”, czynił wszystko co było w jego mocy, by obniżyć autorytet La Vigerie i uniemożliwić przejście dalszych katolickich przywódców na stronę Republiki. „Za wszelką cenę, stwierdzał, trzeba ten ruch zahamować”.

W zgodzie z kardynałem Richard, przywódcy monarchistyczni wyobrazili sobie przemysłną przeciw-akcję wobec nieumkniętej deklaracji papieskiej. Podjęli wiosną 1891 roku myśl o „partii katolickiej”, rzuconą w roku 1855 przez Alberta de Mun, a wówczas przez nich odepchniętą. Widzieli bowiem

korzyść stworzenia pod niepolityczną firmą „Unii katolickiej Francji” drugiej partii monarchistycznej. Organizację tę zamierzali wykorzystać jako bastion rezerwowo na wypadek gdyby Watykan zażądał niedwuznacznie od katolików, by przestali utożsamiać własną sprawę z interesami pretendenta do tronu. Komitet centralny chciał sobie zapewnić, niejako w roli zakładnika — współpracę republikańską katolickiego Szczępana Lamy. Podstęp był jednak zanadto widoczny — Lamy się nie zgodził. Zresztą w sposób wysoce niezręczny zapowiedział ksiądz d'Haussonville w swym przemówieniu w Tuluzie (19 lipca 1891), że kandydaci Unii będą popierani przez monarchistów w zbliżających się wyborach.

Tymczasem grom z takim niepokojem wyczekiwany uderzył 16 lutego 1892. Leon XIII powiadomił katolików francuskich, iż oczekuje od nich lojalnego pogodzenia się z Republiką.

Encyklika „Rerum Novarum”, dane polecenie pogodzenia się z demokracją („Ralliement”) zaskoczyło także i korzystających z antyklerykalizmu. „Lewicowcy” zespół rządzący, składający się w znacznej większości z masonów, przestraszył się na dobre. Debisour³⁾ przyznaje nawet, iż radykalny wniosek, jaki przedstawiła Rada Stanu 4 czerwca 1891 w sprawie katolickich kongregacji kobiecych, może się doskonale tłumaczyć jako pośrednia zemsta władzy mieszczańskiej na niebezpiecznym papieżu.

Uważano też za konieczne podać pod wątpliwą szczerłość „Ralliement” i podkreślać jak najkategoryczniej, iż pojęcia „antyklerykalizm” i „demokrata” są nierozdzielne. Radykalowie powtarzali więc konsekwentnie w swych ośwegach i w prasie, iż katolicy dokonują manewrów i podstępów zbliżenia się do Republiki tylko po to, by móc ją pewnie zdławić. Twierdzili, iż Ojciec Święty poszedł w sprawach robotniczych po linię demagogicznych licytacji, „których hipokryzja ał bije w oczy”, że wreszcie, jeśli kiedy trzeba będzie przestać traktować proboszczów jako wrogów, to dopiero wówczas, gdy będą tak nieliczni, i tak zdeptani, iż nie będą już w stanie szkodzić. „W polityce, tak jak na wojnie, dowodził Paweł Doumer, (późniejszy prezydent, zamordowany w 1932 r.) pokój jest możliwy tylko jeśli nieprzyjaciół jest pokonany, zmiażdżony, bez szans i nadziei odwetu, gdy dowódcy zostali rozproszeni, poginęli lub pociękali”.

Działalność antyklerykalna była zresztą mimowolnie, ale znacznie ułatwiona, przez stanowisko zajęte powszechnie przez „wiernych” i duchowieństwo. Nawet Episkopat przyjął Encyklikę o porozumieniu z wyraźną wolą niedokonania niczego dla jej zrealizowania. Niektórzy biskupi wahali się czy opublikować treść papieskiego apelu w swych diecezjach. Biskup Fava z Grenobli zapowiedział, że stanie na płaszczyźnie Republiki, wykonując otrzymane polecenie, „lecz tylko po to, by walczyć wszelkimi posiadanymi środkami z republikańskimi”. Identyczne stanowisko zajął Biskup Izoard z Annecy, Katolicki „Univers” w następujących słowach podawał do publicznej wiadomości apel do „Ralliement”: „Wchodzimy na teren konstytucyjny, by was (republikańców) wypędzić od władzy!”

(Dokończenie na str. 10)

MACIEJ JÓZEF
KONONOWICZ



TANCE

POLSKA KREW

Wschodzi słońce —
Młoty w dłoń!
Bij w świetlistą tarczę — póki nisko!
Wschodzi słońce —
W górę skroń!
(Nam mówili, że po wszystkim...)
Rozsmawają się lany tęczowe,
Jak spodnice łowickie, jak wstążki krakowskie —
Pod pszenicą, co ma wąsy płowe,
Patrzą kwiaty, czy oczy niebieskie.
Rośnie ziemia, pęcznieje zielenią
A o zmierzchu gaśnie kujawiakiem —
Wiatr kołysze się na miękkim cieniu
I po rzece księżyc idzie rakiem...
Ej, to tylko strojenie baselli —
Jeszcze sennie, jeszcze nieporadnie
Ale kiedy w garść się splunie setnie
I dziewczyna się bliżej przygarnie,
Kiedy włączy się bęben i skrzypki,
Gdy podkówką o ziemię się przytnie —
Wtedy — z drogi, bo na śmierć zادهpczę!
Wtedy pierśiom wiatru i powietrza!
Obereczek — i po ścianie
Na chałupę, na stodołę,
Rozpalone oczy w obłok —
Słońce górą — ptaki dołem —
Raz z przysiadem, raz z przytupem,
Raz w przykleku — dziewczka wokół —
Dzwonią perły ponad uchem,
Mieni się spodnica w oku...
Nam mówili, że po wszystkim,
Że nam ino stryczek został —
A tu znowu nad klepiskiem
Gwiżdżą cepy krzepko z polską —
Nam mówili, że to koniec —
A my znowu od początku!
Ino setnie splunąć w dłonie,
Ino wszyscy, bez wyjątku!
Jeszcze sennie i niepewnie,
Jeszcze się muzyka smęci,
Jeszcze się kujawiak rzewni
Ale — dłonie krzepną w pięści!
Niech się ino skrzypka zstroi,
Niech się ino bęben włączy —
Runie mazur — wtedy z drogi,
Bo inaczej świat się skończy!

Mazur — mazur — wzbil się tuman!
Patrzcie: — Maciek przodem bije —
A mówili: — wczoraj umarł —
— Może umarł... — grunt, że żyje!
Hej, szeroko — świat przestronny,
Jasne oczy — droga prosta,
Gdy się skończy — przez zagony
Śmigać będą nasze wiosła!
Wiatr się czepia twych warkoczy?
— To go garscia między oczy!
Cień ci nóżki splątał w tańcu?
— Zmiażdżę butem oberwańca!
Słońce w oczki ci zazięra?
— Cisnę głazem i przygaszę!
Deszcz ci liczka krasne zlewa?
— Mazur mu podmucha w kaszę!



OBEREK

Karuzela — karuzela —
Na spodnicach wir tęczowy —
Barwny pył się poniewiera
Niepotrzebny, pomyłony...

Jak fontanny w słońcu grają
Smukłe dziewczki, krasne ksenie —
A chłopaki nie ustają,
A wdeptują stukot w ziemię!

Hej! rozkręca się wrzeciona,
Oj! zakręca skrzypki w głowie —
Aże serce w piersiach skona,
Aż po krzyżach przejdą mrowie!

Świat się kręci jak pijany —
Stój! Nie widzisz, że na głowę
Wala ci się cztery ściany,
Żeś już przebił skroś podłogę?

Pułap drogę ci zagroził —
A ty dalej, w krąg, w szerz, w górę —
I do tego dziewczkę zwodzisz
I oplatasz ją rąk sznurem!

Gdzie zalecisz? — czy się strzymasz
Nad krawędzią ech kapeli?
W rękach skona ci dziewczczyna
I poniosą ją anieli —

Patrz — jej usta — krawawa smuga,
Patrz — jej piersi — śnieżne kwiaty
Jeszcze dyszy, jeszcze mruca —
Wybierz: pogrzeb — albo swaty!



...muzeli nie wyskoczy,
Rąk nie puści — prędzej skona
Ach te usta, ach, te oczy
I muzyka jak szalona...

Już cię związał pęk warkoczy,
Już się usta wam związały,
Już urzekły cię te oczy,
Już się serca... dogadały!

Ale jeszcze, ale nuże!
Jak karuzel, jak wrzeciona!
Jeszcze prędzej! Jeszcze dłużej!
Obereczek: ty i ona...

Krew nie woda — oj pociekła
Rzeką bystrą, rzeką wartką —
Nam mówili rodem z piekła,
Że na próżno i za gładko...
Przecie znowu tryśnie juha,
W słońcu zboże się zapieni —
Byle polskiej krwi i ducha
Nie zaprzedać, nie wymienić!
Z obcych krajów, z gór i nizin
Ciągnie mazur, polski taniec —
Powrócimy — powrócimy —
Choć mówili, że już koniec...



KOZAK

zespolowi Igora Mojsiejewa

Balabajka struną trzaska
I przeciąga się harmoszka —
Smolne oczy ma Paraska,
Śnieżne zęby ma Jewdoszka.

W balabajce struna bzyka —
Chłopcom wilkiem z oczu patrzy
Gryzą ziarenka słonecznika
I czekają: — który zacznie?

Pęka krąg — a Wasil w środek!
Sunie nisko szara skiba —
Pęka krąg — i czuje oddech
Saszy, Stieпки i Trofima.

Łuk napina — leci strzałą,
Świdrem wkręca się, maleje,
Tuż nad ziemią krąży gwiazda
I — z trzepotem rąk — smukleje.

Ściegiem obszył szmat podłogi —
Teraz nogi tną jak noże...
Stanął — szumi noc za progiem:
Odpływ stepów w Zaporozże...



MAZUR

Patrzej, coś narobił bucie z podkówkami —
Zasypałeś pannom oczy iskierkami —
Każdej serce wali, każdej liczko płonie —
Niosą je po stepie rozhukane konie.

Tętent serc i kopyt — gwiazdy spod nóg lecą —
Czyżby aż na niebo zawiodły nas flety?
Czyżby ścieżka pieśni, biegnąca ze skrzypki,
Niosła nas na gwiazdy, na anielskie grzybki?

Chata się rozpekła w cztery strony świata —
Trzymaj-że mnie mocniej — albo puść do kata!
U nóg twoich kłęczę i proszę i czekam —
A ty krążysz w koło i zwodzisz i zwlekasz.

Już mnie krew zalewa, już mam cię w ramionach,
Niosę cię po łąkach, po lasach, zagonach,
Butem przedudniłem przez nasze miasteczko —
Sama za mną pójdziesz, uparta dziewczeczko!

Patrzej, coś narobił bucie z podkówkami —
Zasypałeś pannie oczy iskierkami —
Tak jej serce wali, tak jej liczko płonie —
Mazur nas wyswata! Do kościoła!! W konie!!!

Polonezem i oberkiem,
Krakowiakiem i zbójnickim —
Na odwertkę, wprost i sierpem
Aż z podkówek pójda iskry,
Aż pod ciosem stał się zwinie.
Aż spod kos wystrzelą snomy.
Aż się ziarno w miazgę zbię,
Gdy cepami grzmotną chłopcy,
Aż fabryki puszcza farbę,
Aż wypłynie węgiel z ziemi —
Choć mówili lutry harde,
Że się już nie zazieleni...



KUJAWIAK

Z. Buczyńskiej

Chodzą, jakby urzeczeni —
 Patrz, jak miękko ruch zastęga —
 — Dwa — trzy —
 Zaraz coś się zmieni —
 Słuchaj: żuraw wiadro dźwiga
 Z wodą dla koni —
 — Dwa — trzy —
 Z jakiejś urojonej sieni
 Tyle się zapachów wdarto
 Zbóż i łąk i wilgnej ziemi —
 Oczy patrzą przez zagony —
 Muzyka? Z kościołka dzwony?
 Rzewnie — rozlewnie — tajemnie —
 Coś we środku, coś-ci we mnie...
 — Dwa — trzy —
 Oczy jak kwitnące róże —
 Płot, ogródek i podwórze —
 Coś-ci się tak w sercu rzewni,
 Coś-ci tak radośnie płacze...
 Hej! — — —
 — Dwa — trzy —
 Kujawiak... kujawiaczek...



FOXTROT

Gdy rytm pociągu zaplątał się w nocy,
 Gdy śnieg z gwiazdami zastęgał w mozaikę —
 Mówiłaś do mnie, nie patrząc mi w oczy,
 Pełną gwiazd, nocy, śniegu, rytmu bajkę.
 Kiedy znów zadudniło na mostku żelazem,
 Kiedy echo dźwięk rdzawy rzuciło pod koła —
 Tak się dziwnie złożyło, że przecież tym razem
 Most żelazny połączył nam oczy i czoła.
 Kiedy w smugę świetlistą pęd rozsunął miasteczko,
 Kiedy koła już szybciej nie mogły naprawdę —
 Wtedy dziwne: i oczy twe — smuga świetlista
 I serca i bity i szybciej i składniej
 I tempo i rośnie i coraz i głośniej
 I bije i o szy-i-by i o echo —
 Ja mówię, ty mówisz — jak można najprościej —
 Tak blisko jesteśmy a sens słów daleko.
 O szyby zadzwonił grad iskier z lokomo —
 O! patrzaj — znów smugą rozsunęła się wioska...
 O! gwiazdy nam lecą z zakreću — tak stromo...
 O! sterta drzew suchych przy torze tak trzaska...
 Czy niebo w płomieniach podpala nam szyby?
 Czy dym się w akordy gwiazd krwawych zasłuchał —
 I nie wiem: to wszystko na prawdę? na niby?
 A może zakłęta nas bajka — starucha?
 Patrz: tempo już gaśnie i smugi tężeją
 I poprzez sztachety turkotu coś... jakby...
 Już niebo zamarza i gwiazdy kuleją,
 Już lampy zmęczone w wagonie pobladły...
 Poezja wytrąca już w biegu swym rymy,
 Gubi rytm, metafory wymienia na cyfry —
 Dwa, trzy, cztery słowa — no, jeszcze dla rymu:
 kominy —

teraz pomalutka szarzeję w prozę, gi-
 ną duże litery, sylaby stanęły na
 spoczynku, błędy ortograficzne, do stro-
 fiek krzyknął ktoś: rozejść się — mocniej!
 Widzisz, najmiłsza, to tak właśnie pęka
 bańka poczci. Pociąg powoli staje...
 stanął...
 — Piwo! Lemoniada!! Gazee...



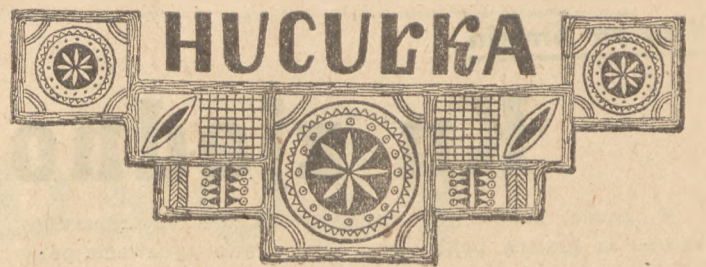
POLKA

Moja droga — mój ty drogi —
 Bęben swoje — a wy swoje —
 Popłatały się wam nogi
 I tańczycie jak we troje!
 Warkoczyki — wiechcie siana,
 Zez i gęba piegowata,
 Nóżki krzywe od kolana,
 Bluza w strzępach, kiecka w latach —
 A ty, bracie, też nie lepszy,
 W korcu maku dobierany:
 Łeb jak ceber — a w tym cebrze
 Śmiech i słońce z pomyjami!
 Od podłogi — niedaleko,
 Do sufitu niewysoko —
 Wisieć nudno, stać — nie lekko:
 Łeb rozwałą i wywolą...
 Taka nasza pieska dola —
 Raz wplątawszy się w poleczkę
 Musisz skakać i wirować
 Aż się warkocz zemle w sieczkę,
 Aż się oczy naprostują,
 Aż ci piegi pot wymyje,
 Aż się ze łba wybuźuje
 Śmiech i słońce i pomyje.
 Śpiewki, gwizdy, zarty, krzyki
 Aż od śmiechu biorą kolki —
 Oto skutki tej muzyki
 I wariacko - śmiesznej polki.



TANGO

Przymknij oczy —
 Niech tonie okręt: nie ma przy nas drzew,
 Nie ma wiatru, błękitu i chmur —
 Jest w nas jedynie tęsknota i lęk
 Przed tą miłością, strąconą ze strun
 I pustką nocy —
 Niosą nas fale bezhoryzontalnych mórz
 Nad nami gwiazdy abstrakcyjne —
 W dłoniach wędnący bukiet bladych róż
 I smutne lilje.
 Nieś nas wtulonych w kabinę półsnu
 Okręcie zmysłów z muzycznej stoczni.
 Pędzony wiatrem rymowanych słów
 Wśród pustki nocnej —
 Tango — tango — tango —
 Ciału — bezwolę, omdlenie,
 Rytm — nogom, melodię — wargom
 I sercu zatracenie.
 Tango, tango — dotykam —
 Rytmiczne fale mnie niosą —
 Pod powiekami zamykam
 Oczy — dalekie niebiosom...
 Wszystko, wszystko jest niczym —
 Już tonę melodyjnie —
 W dno, w głębię się wkotwiczam
 Trzymając ciebie — lilję.
 Niech nas pochłonią fale
 Słów, rozpalonych skargą —
 Piosenka opiumowana:
 Tango — tango —



HUCULEKA

Las szumi. Z gór się zsuwa
 Miękki cień — lawiną —
 Półki jasno, półki widno
 Szukaj za dziewczyną.
 Oj, sidaj, sidaj rida,
 Sidaj rida dana —
 Noc się zwali, spadną gwiazdy —
 Daleko do rana ...
 Oj, ciężko i gorąco
 W kozuszkę baranim —
 Aleś przecie nie ostatni
 Między mołojcami.
 Oj, sidaj, sidaj rida,
 Sidaj rida dana —
 Gdy dziewczynę wplącesz w taniec
 Odtają kolana —
 Jak sprężyna, jak pręt stali
 Gną się i prostują —
 Lecą drzazgi — a z oddali
 Góry odkrzykują:
 Oj, sidaj, sidaj rida,
 Sidaj rida dana,
 Kibtra fajno molodica
 To to moja mama ...
 Już się zaczął wir szalony,
 Już warkocze w różne strony,
 Już się usta, oczy, wstęgi
 Poszczepiały w barwne kręgi —
 Wir i obłęd — oddech rwany —
 Skaczą okna, drzewi i ściany,
 Smugą wiją się ikony,
 Kwiatów płomień wiatrem rwany —
 Wir — wir — aż do szalu,
 Jak lecąca z gór lawina —
 Bąk — bąk — rozkręcany —
 Bicz muzyki go podcina —
 Błysk — krzyk — patos dłoni —
 Śruby w górę — grzmot o ziemię!
 Dziewki: precz! Starzy z drogi!
 Na zapiecek i do sieni —
 U-ha! Krew już gra!
 Dłonie w pięści — głowy hardo —
 U-ha! Grom i skra!
 Gwiazdy strzelą i opadną ...
 O-hej! Krew się leje?
 — Brzask różowy ... to już dnieje ...
 Stygnie, zwalnia wir i szal —
 Świt lawiną biegnie z skał ...
 Hej — hej — błędną gwiazdy —
 Ocierają czoła gazdy —
 Chwieją się na nogach młodzi —
 Noc ich zwiódła — dzień ich zwodzi.
 Rosa perli się i mieni —
 Dzwonią owce po zieleni ...
 A dziewczyna? a dziewczyna?
 — Mgłą zakryta w poloninach ...
 Oj, sidaj, sidaj rida,
 Sidaj rida raty —
 Budiesz mene, diwczinoczko,
 Zawtra wspomynały ...



Rysunki: Marek Kononowicz
 Tekst: Maciej Józef Kononowicz.
PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

Florian Śmieja

Ku zjednoczonej Irlandii

Z granic naturalnych uważamy morze za granicę najtrwalszą. Irlandia będąc wyspą zdaje nam się być jednością zarówno geograficzną jak i etnograficzną i ekonomiczną. A jednak tak nie jest, lub raczej dołd tak nie jest. I to jest tragedią Irlandii, że nie może reprezentować takiej pozycji, jaka jej się z natury należy.

Celtycka Irlandia, która ostała się imperializmowi Rzymu, rozbiła wszystkie zakusy Duńczyków podbiła wyspy. Dopiero w 1172 Henryk II, król Anglii wylądował w Irlandii i zmusił królików konglomeratu irlandzkiego do uległości. Na tutejsze wyspy postawił gubernatora a ziemię nadał swym zwolennikom, którzy od razu popadli w ciężkie zaręki z tubylcami. Za Henryka VIII i Elżbiety Irlandii narzucono anglikanizm, a dla zabezpieczenia się przed „papieżnikami“ nasłano szkockich osadników do północnej części wyspy i dano im najlepszą ziemię. Wywołane przez to posunięcie powstanie po długich i okrutnych walkach uśmierzone przez połączone siły kolonistów i angielskich wojsk. Przemoc i głód, spowodowany rabunkiem i zniszczeniem pól, złamały ostatecznie opór autochtonów, a ich książęta umknęli na kontynent. W 1641 północna Irlandia powstała przeciw rosnącej kolonii szkockiej, która zmierzała do wytopienia katolicyzmu w Irlandii. Już się wydawało, że katolicy wyjdą obronną ręką, gdy w Anglii ścięto Karola I. a Cromwell po kilku masakrach spacyfikował całą Irlandię. Zaś parlament nakazał Irlandczykom pod karą śmierci opuścić północną Irlandię i iść do nieurodzajnego „CONNAUGHT lub do piekła“. Po restauracji monarchii w Anglii, Irlandczykom zaczęło się trochę lepiej powodzić, ale gdy Jakub II okazał się królem nieudolnym i uciekł do Francji, wyspa po bohaterskich walkach z Wilhelmem III Orańskim, uznała go za króla Irlandii. W konsekwencji przegranej zaczęto uchwałać prawa, które zabraniały katolikom piastowania urzędów, głosowania i kształcenia się. Z czasem parlament angielski zniszczył handel, i przemysł włókienniczy Irlandii, który w międzyczasie został zagarnięty przez osadników. Wielka nędza i rozgoryczenie zmusiły rzesze presbiterianów Ulster, północnej części Irlandii, do emigracji do Ameryki, gdzie okazali się najzawziętszymi wrogami Anglii. Sko-

ro w 1719 parlament angielski miał prawo wydawania praw dla Irlandii, niezadowolone poczęło rosnąć wśród całej ludności Irlandii. Protestanci poczęli się oglądać za poparciem katolików celem walki z parlamentem angielskim. Wykorzystując wojnę Anglików w Ameryce i groźbę inwazji francuskiej w braku sił angielskich Irlandia wystawiła 100.000 armię celem samoobrony. Mając taką siłę, uzyskano zwrot prawa ustawodawstwa dla parlamentu irlandzkiego. Ale to nie wystarczyło. Kiedy ciężka doła się nie polepszała, ludźni w pomoc Francji zarówno protestanci, jak i katolicy powstali przeciw wojsku angielskiemu. Brak dyscypliny i pomocy z zewnątrz skazał powstanie na upadek. W trzy lata później przekupstwem zlikwidowano parlament irlandzki, a obie wyspy otrzymały nazwę Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii. Za to przyznano Irlandczykom 100 miejsc w parlamencie, których pod przewodnictwem O'CONNELLA używano w walce o emancypację katolików. Środkami rewolucyjnymi i legalnymi powoli poczęła Irlandia wypływać z zupełnego poddaństwa ku wolności. Ale skoro na początku XX wieku stało się jasne, że Irlandii trzeba dać niepodległość, imperialiści angielscy poczęli sobie „urabiać“ część hrabstw północnej Irlandii, których połowę ludności stanowią protestanci osadnicy. W rezultacie aktem z 1920 (ziemie te pozostały w Zjednoczonym Królestwie. Był to znak, że Brytania z Irlandii nie rezygnuje; było to pewnego rodzaju zastraszanie nowego państwa, które przez narzuconą granicę zostało pozbawione przemysłu. Ulster, bez reszty Irlandii musiał otrzymywać subsydia z Brytanii.

Irlandczycy nigdy nie zrezygnowali z sześciu północnych hrabstw, ale wolność zdobyta orężem powstańców była skarbem zbyt cennym, by go można było narażać na utratę w walce o północny Ulster. Tymczasem Irlandia Południowa, EIRE, zbudowana z wiekowego snu weszła na arenę wolnych państw europejskich i poczęła się odbudowywać. Gdy wybuchła ostatnia wojna światowa — Irlandia pozostała neutralna. Neutralność ta wpływała nie tyle z pronieemieckich sympatii (rząd Irlandii potępił agresję niemiecką), ile z nienawiści do Brytanii okupującej wciąż część Irlandii. Naturalnie nie przeszko-

dziło to 300.000 Irlandczykom w służeniu w brytyjskich siłach zbrojnych.

Po wojnie sytuacja się zmieniła. De VALERA odszedł, a nowy rząd koalicyjny stanął u steru państwa. Pierwszym aktem nowego premiera było zacieśnienie stosunków irlandzko-brytyjskich. Ale polityce De Valery w stosunku do Irlandii Północnej nowy rząd pozostał wierny. Na łamach prasy irlandzkiej problem ten zyskał stałe obywatelstwo, a ostatecznie pojawił się w prasie brytyjskiej, amerykańskiej i kontynentalnej.

Mimo, iż wszyscy Irlandczycy są przekonani, że czas skończyć z teorią dwu Irlandii, rzecz ta nie jest ani łatwa, ani prosta. Optimizm premiera COSTELLO, że sytuacja nie jest bez wyjścia, natchnął zwolenników obozu unijnego nową nadzieją. Z drugiej strony premier konserwatywa Północnej Irlandii, obawiając się wpływów EIRE zarówno w Belfastie, jak i w Londynie, bije na alarm głosząc, że posłowie do brytyjskiej Izby Gmin nawołujący do uni Irlandii igrają z ogniem. Twierdzi on, że protestanci Ulster są wierniejsi koronie brytyjskiej niż sam Brytyjczyk.

Ale ludność Północnej Irlandii podziela tylko częściowo wypowiedzi premiera. Często się słyszy głosy, że Południe czy Północ przeciętnemu mieszkańcowi Ulster nie sprawi żadnej różnicy. Pracować trzeba

wszędzie. Eire pociąga swym bogactwem (nie ma racjonowania), ilością niektórych przedmiotów (samochody amerykańskie) oraz swobodną atmosferą. Ale Pomoc trzyma niezadowoloną część społeczeństwa w ryzach. Specjalne prawa upoważniają rząd do dalekosiężnych represji. A tymczasem rolnictwo Eire nie może się odpowiednio rozwijać bez przemysłowej Północy, pozbawionej gospodarczego zaplecza.

Jedną z trudności przekreślających unię są różnice religijne. Protestantyzm Północy zdaje się być mocno zakorzenionym politycznym uprzedzeniem i tradycją, a nie tylko przekonaniem religijnym. Odpowiedzią na obawy protestantów są chociażby wypowiedzi protestanckich biskupów EIRE, którzy cieszą się wszelką swobodą i równą opieką państwa. Równocześnie należałoby się podporządkować organizacji federalnej, która by zabezpieczała wolność poszczególnych części, a zarazem dała korzyści ekonomiczne.

W Eire istnieją dwa kierunki: jeden domaga się wycofania wojsk brytyjskich z Północnej Irlandii, a reszta pójdzie jak z płatka. Inni są zwolennikami pokojowej aneksji. Chcą oni tak Eire gospodarczo postawić, by Północ sama się do niej skłaniała. SEAN MAC BRIDE, minister spraw zagranicznych jest zdania, że nie ma co myśleć o zniesieniu granicy, póty reformy spo-

łeczne w Eire nie będą równe osiągnięciom Północy.

Wtedy tylko, gdy cała wyspa będzie jednym suwerennym państwem irlandzkim, współpraca irlandzko-brytyjska może dojść do rezultatów dotychczas nieosiągalnych. A Brytania bardzo zależy, aby wyrównać historyczne zaległości z sąsiadami z zachodu. Nie należy się jednak spodziewać, aby Brytania zgodziła się na przyłączenie Północnej Irlandii do EIRE bez zgody tej ostatniej do współpracy celem wspólnej obrony wysp. Arteria Północna Irlandia — Szkocja jest dla Brytanii niezmiernie ważna i Brytania z niej nie zrezygnuje.

Obecnie angielska Partia Pracy zdaje się darzyć Eire i jej plany swymi względami. Premier Attlee i szereg ministrów spędził wakacje w Eire wywołując wszędzie serdeczne owacje. Zbliżające się wybory, które będą próbą sił socjalistów i konserwatystów, mogą w pewnej mierze zależeć od pomyslnego załatwienia kwestii Irlandii. Niektórzy przywódcy Partii Pracy — jak twierdzi CATHOLIC HERALD — po prostu czują, że podział (PARTITION) jest pozostałością z doby konserwatystów, która wymaga szybkiego, a cichego pogrzebu. Po powrocie z podróży do Ameryki premier Costello ponownie oświadczył, że usunięcie podziału stało się nieodzowne.

Przyszłość okaże, czy Irlandczycy i Anglii znajdą podstawę do porozumienia i jaką drogę obrają do uni Irlandii, której Europa potrzebuje. Irlandii, która tak chlubnie się spisała w Wiekach Ciemnych.

Florian ŚMIEJA

F I L M

Tematem filmu „SŁOŃCE WSCHODZI“ jest walka o wolność, związana we Włoszech jaskrawiej i inaczej aniżeli w innych krajach okupowanych przez hitlerowców z walką z faszyzmem. Imponującą cechą tego jasnego w linii ideowej filmu jest jego uczciwość i wszechstronność. Wydaje się, że „Słońce wschodzi“ ucy jak można bez demagogii, bez uproszczeń, schematyzacji, bez publicystyki wyrazić dobitnie stylem filmu postawę ideową.

Scenariusz wiąże ściśle akcję z ludźmi, narysowanymi: wyraźnie, związanymi silnie ze środowiskiem. Akcja jest prosta, zwarta, skupia logicznie poszczególne wątki. Epizody konspiracyjnej są podporządkowane koncepcji artystycznej. Widać czujność realizatorów, którzy nie chcą rozproszyć przeżycia przez wprowadzenie przerosu zdarzeń, nadmiaru epizodów. Słusznie zrezygnowano np. z pokazania partyzantki. Dostateczną wymowę mają sceny walk ulicznych na końcu filmu, walk, które organicznie wiążą się z akcją.

Kompozycja filmu opiera się na kontrastach równoczesności wypad-

ków. Kontrastach naturalnych i zgrupowanych naturalnie. Jednolitość filmu uwydatnia wyraźne osadzenie akcji w miejscu i w czasie (ulice miasteczka, wnętrza dwóch domów i pałacu, następstwo chronologiczne zdarzeń).

W obu obozach pokazano żywych, realnych ludzi. Między tymi, którzy walczą o wolne Włochy, są tacy, którzy walczą świadomie, postawa ideowa kształtuje ich stosunek do zdarzeń są także ludzie, których zdarzenia formują, ich rozwój, zmiany, ewolucję charakterów pokazuje film, i ci wreszcie, którzy przypadkowo włączyli się z walką o wolność musząc dokonać wyboru między jedną lub drugą stroną barykady.

W obozie rodzimych i przysłańskich okupantów można mówić o tej samej metodzie stwarzania postaci. „Ideologia“ matrony pałacu każe jej nienawidzić włoskich patriotów, nie lekkać się okupantów. Postawa właściciela fabryki, który chciałby być zawsze po stronie zwycięzców dyktuje mu służalczość wobec Niemców i w ostatniej chwili próbę pakowania z powstańcami, Matylda

nie ma swojej „ideologii“, działając na nią wypadki, dlatego jest postacią dramatyczną, jedną w pałacu. Dominantą po tej stronie barykady jest zwyczajność i bezideowość. Nie mieć, kacyk, dowódca we włoskim miasteczku, szukający odpoczynku we Włoszech, nie interesujący się wojną, inwazją, zagrożeniem Niemiec, jest okazem psychopaty, małego człowieka, który dla swojej niemości i wykrzywienia znajduje ujęcie w teorii rasowej wyższości. Podość jego włoskich partnerów jest zróżnicowana, nakreślona pewnie, uwarunkowana, nieprzypadkowa.

Najbardziej patetycznymi postaciami filmu są młody ksiądz i bohaterka filmu Laura. (Nie wiadomo dlaczego nazwisko odtwórczyni tej roli, sławnej przecież artystki jest w programie filmu Polskiego zakonserwowane). Szkoda, że tekst polski każe mówić Laurze sztucznym językiem, że niepotrzebnie dodaje akcenty patetyczne, różne od prostego patosu oryginału. Wyświetlana kopią słaba, dźwięk szwankuje.

Od znanych już filmów włoskich — ten różni się optymizmem. L.

Francja w okresie „Rerum Novarum“

(dokończenie ze str. 7-mej)

„Unia katolickiej Francji“ próbowała wykorzystać swą „neutralność polityczną“, jaką sobie z góry zabezpieczyła, by móc nią zamaskować swą rzeczywistą działalność, jednak już 3 maja pisał z Rzymu do Arcybiskupa Paryża — kardynał Ranpollat: „Unia nie zajęła stanowiska zgodnego z życzeniami Stoicy Apostolskiej... Katolicy muszą się ustawić wyraźnie, aby wszyscy mogli zrozumieć, że ci, którzy domaga się się poszanowania religii i swobody dla Kościoła nie są ukrytymi nieprzyjaciółmi państwa francuskiego“. Ojciec Święty notyfikował kardynałowi francuskiemu swe życzenie, by katolicy nareszcie uznali Republikę „bez niedomówień, z godną chrześcijan pełną lojalnością“ U „niezdolna do posłu-

nes doprowadzili w dniu 9 czerwca 1892 do manifestacyjnego „non possumus“ posłów monarchistycznych, odrzucające kategorycznie Encyklikę. Opór organizował się w salonach i w pałacach, gdzie zrywano formalnie z Watykanem, od mawiając demonstracyjnie świętopietrza. Budził się od nowa galikanizm oraz prawnicowy antyklerykalizm, znany już z czasów Restauracji, a który miał osiągnąć swój najjaskrawszy wyraz w „Action Francaise“³⁾. Wówczas dopiero okazywało się jak często środowiska konserwatywne uważały się katolickimi tylko tak długo, dopóki widziały w Kościele obrońców swych, zażądanie strzeżonych przywilejów. Nie odpowiadało im co prawda zrywać z duchowieństwem francuskim, niezdolnym jeszcze do rozumienia Papieża, a przejętym, by nie utra-

cić dotychczas, jakie zapewniały parafiom sfery bogate; taktyka konserwatystów polegała wówczas tylko na oplakiwaniu „błądzącego“ Ojca Świętego, „tak niecień okłamywanego przez okropne otoczenie“.

Albert de Mun⁴⁾, w swym przemówieniu z 21 maja 1892 wniósł sprawę pogodzenia swe poparcie poważne, smutne, ale bez zastrzeżeń. Zespół młodych księży z północnej Francji (część przemysłowa) zakłada pismo „Chrześcijańska Demokracja“, ksiądz Leclercq — „Lud“. W Lyonie zaczynała się ukazywać „Kronika Społeczna“, w Montpellier — „Socjologia katolicka“, w Marsylii — „Wiek XX“. W lipcu 1893 ksiądz Naudet wprowadza na arenę walki swój dziennik — „Sprawiedliwość Społeczna“, a Jerzy Goyeau ogłasza swą głośną książ-

kę: „Papież, katolicy i sprawa społeczna“. W pracy tej piętnuje fałszywość tez liberalistycznych w zakresie ekonomii, obnaża sielskie koncepcje paternalizmu⁶⁾, gromi płytkich kaznodziej, którzy zadają lają się nawoływaniem „Poznajcie Boga... a będziecie szczęśliwi“.

Ostrzeżenie Goyau przed oszukaństwem „miłosierdzia“, rozumianego jako jałmużny, z której niektórzy pragną uczynić „mniej kosztowny odpowiednik sprawiedliwości“.

„Robotnik bowiem woli od miłosierdzia, którego mu można odmówić — sprawiedliwości, do której ma niezaprzeczalne prawo“.

Ziarno było rzucone...!

łumaczył Wojciech Kętrzyński

¹⁾ De la Vigerie Karol (czyt. de Lawizji) — kardynał, arcybiskup Algezu, następnie prymas Afryki francuskiej i metropolita Kartaginy. Ur. 1825, zm. 1892 — wybitny działacz społeczny, słynny ze swej aktywności wśród ludności afrykańskiej.

²⁾ Keller Emil — działacz prawnicowy katolicki, poseł do parlamentu,

ur. 1828, zm. 1909, odznaczył się wybitnie w czasie wojny francusko-pruskiej 1870 r. na czele oddziałów partyzanckich.

³⁾ Debédour Antoni (czyt. Debidur) — historyk francuski, opracował historię stosunków między Kościołem a państwem francuskim. Ur. 1847, zm. 1917.

⁴⁾ De Mun Albert (czyt. de Mę) — oficer wojsk francuskich, pochodzenia arystokratycznego, nawrócony na katolicyzm, dzięki wpływowi biskupa Kettlera. Początkowo przekonał konserwatywnych, jednak bardzo żywo interesujący się problemami społecznymi. Od „Rerum Novarum“ wyciął się ze swej działalności politycznej i poświęcił się wyłącznie działalności społecznej. Ur. 1849, zm. 1914.

⁵⁾ Action Francaise (czyt. Aktia frazes) — tygodnik polityczny prawnicowo-nacjonalistyczny, założony przez Vaugois w r. 1908, przy wybitniejszej współpracy Leona Daudet, Maurras, Bainville. Dla celów politycznych powoła katolicyzm. Potępiony przez Stołicę Apostolską.

⁶⁾ Paternalizm — koncepcja społeczna, głosząca zasadę, iż pracodawca ma w stosunku do robotników te same prawa naturalne, co ojciec do stosunku do dzieci, nawijająca do tradycji cechowych średniowiecznych.

Dominik Horodyński

Z NOTATNIKA PODRÓŻY

Niedziela.

Wczoraj rano wyleciałem z Warszawy. Dziwne uczucie, gdy po niespełna dwóch godzinach lotu samolot zakreśla wielkie koła nad spalonym Berlinem. Przed chwilą była przede mną zburzona Warszawa i na jej wąskich ulicach nerwowy ruch samochodów, ciężarówek, wozów — zatory, bałagan, tłok małych ludzkich figurek na trotuarach, rozkopane jezdnie, rusztowania. Tutaj rozwija się spod skrzydeł samolotu olbrzymie miasto — trup. Wypalone domy sterczą posturpionymi ścianami w niebo tak jak sterczały przed trzema laty — księżycowy obraz długich pustych ulic bez przechodniów, bez samochodów — coś bardzo ponurego.

Warszawa — Berlin w dwie godziny. Przez ostatnie lata stracił mi świadomość tej bliskości stolicy Rzeszy i gdy czytamy o wypadkach berlińskich, wydaje się nam nie raz że rozgrywa się one gdzieś za siódmą górą i rzeką.

Lądujemy na Gatow, angielskim „przyczółku” mostu powietrznego. Co parę minut lądują transportowce z żywnością czy z węglem, aby zaraz odlecieć po następny ładunek. Przed rukiem spędziłem noc na lotnisku La Guardia — tam jeszcze częściej, co minuta, lądował samolot, każdy z innej strony świata. Często z innych kontynentów. W blasku wielobarwnych reflektorów przez komorę celną przewijał się nieprzerwany sznur podróżnych w przedziwnych strojach, od futer do turbanów i białych zawołów, bo samoloty przylatywały z Ameryki Południowej, Afryki, Hawaj, Europy czy Alaski. Przypomniał mi się ten feeryczny obraz lotniska nowojorskiego, tak inny od beznadziejnego wznoszenia się i lądowania aprowizacyjnych samolotów na szarym i smutnym Gatow. Młyny pilotów, złe humory obsługi w nieskończoność wyładowywującej wciąż nie wystarczające ilości pak, jakiś specyficznie nieprzyjemny nastrój tego miejsca, wszystko razem stwarza wrażenie czegoś niedorzecznego.

Nie puszczają nas na miasto, zresztą, jest mało czasu. Chcąc trochę poplotkować dzwonię do Osmańczyka, nie ma go w domu. Lecimy dalej. Miasteczko Buckeburg leży w centrum strefy brytyjskiej. Na lotnisku nastrój policyjny, w mieście niemiędrawy. Tubylcy wyglądają mizernie i są za nadto grzeczni. Na dwóch lepszych hotelach napisy: „Für Deutsche verboten”, na kinie i lokalach oficerskich to samo.

Smutne jest miasteczko Buckeburg. Jak tu było, gdy koło fortuwny zdawało się spoczywać w rękach narodu niemieckiego?

Razem z okupantami idę do kina, towarzysząc uroczej, starej lady, która bardzo dumna ze swego wyczynu wraca z podróży po Europie Wschodniej i już dłużej, czas życzliwie ze mną rozmawia. Lady jest dosyć przerażona różnymi rewolucjami, ale wydaje mi się, że najbardziej męczy ją fakt dużej sympatii, jaką niezgodnie z przekonaniem zaczyna odczuwać do krajów i ludzi rewolucji. Przypomina mi moją przyjaciółką z Nowego Jorku, mówiącą: „tak, tak, proszę pana, u nas też się wszystko kończy — wie pan, ja już zamiast dwóch samochodów mam jeden i za miast trzech służących jednego, a co będzie za rok?” — Widząc we

mnie przedstawiciela burżuazji wdycha smutnie: „nasz świat się kończy”, a potem nagle na pożegnanie klepie mnie poufale po łopatkach i mówi: „i wie pan, nie ma czego żałować!” — Lady jest naprawdę bardzo miła, więc już oszczędzam jej moich uwag o „naszym” świecie.

W messie oficerowie rozwiązują krzyżówki, grają w strzałki, leniwie przeglądają gazety i piją whisky. Whisky jest tutaj bardzo tanie, więc piją dużo. Już tak piją od wielu lat z rzadka tylko odzywając się do siebie, zwykle półśłówkami, czymś w rodzaju dowcipów. Życie kolonialne, życie wojskowe, życie potworne. Najinteligentniejszy człowiek ma w tych warunkach tylko dwa wyjścia, albo się rozpic, albo zidiociec. Cóż dziwnego, że Anglicy zwykli mówić: „Dlaczego nasi generałowie są tak głupi?”. — „To jasne, przecież dobiera się ich spośród pułkowników”. Tak niedawno we Wrocławiu słyszałem, jak przedstawiciele wielu narodów kolonialnych malowali przed intelektualistami tragiczny obraz swych narodów, tragiczny obraz świata. W Buckeburgu świat okupantów i okupowanych to też świat tragiczny, choć inaczej tragiczny.

Dzisiaj rano było cudowne słońce. Lecieliśmy nad Holandią, w której pola i miasteczka, rzeki i kanały i wszystko ma kształt geometryczny, jakiś doskonale uporządkowany, jak szachownica. Potem było morze, które niczym nie różniło się od nieba, bo było niebieskie i nad nami było parę białych obłoków i pod nami, tak, że samolot zdawał się płynąć w jakiejś bardzo jasnej, świetlistej przestrzeni międzyplanetarnej. Potem było trochę mgły a potem Anglia, z rzekami w meandry, nieregularnymi polami, zygzakami żywopłotów, ugorami, parkami i samotnymi zabudowaniami. A potem ogromny Londyn z uliczkami podobnymi do siebie, z brzydkimi małymi domami ciągle takimi samymi, z czerwonymi autobusami, bieżniami dla psów, dymem i mgłą.

Właśnie jestem w Londynie.

Środa.

Jak wielu ludzi wychowanych przez wojnę, natychmiast przezyczam się do nowego otoczenia i środowiska. Już dzisiaj wydaje mi się, że zawsze mieszkalem w Londynie. Tylko z Polakami, z co dzień spotykanymi starymi znajomymi, nie mogę znaleźć wspólnego języka, zwykle nie mamy sobie nic do powiedzenia i spotkanie mija w nastroju życzliwego zażenowania.

Chwilowo chodzę po wystawach i kinach.

W Tate Gallery przepiękna wystawa malarstwa francuskiego. Szereg mało znanych — dla mnie wcale — płócien. Cezanne, Monet, Manet, Gauquin, Degas, Bonnard, Vuillard, Picasso — wspaniali. Pissaro nie zbyt przekonujący, w tym znakomitym towarzystwie, na którym najgorzej wychodzi Seurat ze swą pointylistyczną techniką, tak swego czasu epatując artystycznych snobów.

Zresztą Seurat jest niewątpliwie znakomitym artystą i zapożyczona przez niego oraz z

uporem stosowana maniera pointylistyczna dała malarstwu szereg odkryć o olbrzymiej doniosłości. Jak każda praca pionierska wysiłek ten nosił jednak cechy jednostronności i te płótna Seurat'a w których pozwalał on sobie na odchylenia od własnej manieri są dla nas dzisiaj znacznie przyjemniejsze. Niestety, na opisywanej przeze mnie wystawie znalazły się tylko prace programowe.

Widziałem na wystawie wrocławskiej portret Pstrowskiego pędzla Kowarskiego, który jak by szukał natchnienia w technice pointylistycznej. Ale obraz Seurat'a odznaczają się szczególnie jasną, ciepłą, prześwietloną tonacją i mimo, że męczą manierą, są dla swej epoki charakterystyczne i tłumaczą się lepiej od brudnego w kolorze, ciemnego a przede wszystkim passeistycznego portretu Pstrowskiego. Malarstwo Kowarskiego jest konwencjonalne — niczym nie razi i niczym nie porzywa, jest przeciwstawieniem takiego np. malarstwa Picassa lub nawet całkiem mieszczańskiego Bonnarda, którego dziecięca świeżość talentu, jakiś zachłyśnięcie się radością barw i słońca, po prostu zmysłową radością życia wyzwoliło z obciążenia tak ponurej epoki jak secesja, z której się wywodził.

Z impresjonistami sąsiadują malarze francuscy starszego pokolenia. Przede wszystkim pełen umiaru i cienkich smaków, wielki Corot. Przy nim znakomity, lecz nierówny Courbet. W sali tej miałem dość nieoczekiwane przeżycie. Największe płótno, naturalistycznie potraktowane „Burza śnieżna” Courbet'a wydała mi się przynależać do tego samego gatunku sztuki co niezbyt sławnej pamięci dzieła malarzy polskich monachijskiego okresu.

Poza wystawą francuską są w Tate Gallery sale stałe i wystawa zbiorowa znanego współczesnego malarza angielskiego Jack B. Yeats'a. Już Turner nie wytrzymuje porównania z Francuzami. Jego ogromne, złociste, zbyt eleganckie płótna, przywodzą na myśl za bogactwem i w złym guście urządzone pałace. To samo dotyczy t. zw. wielkiego malarstwa angielskiego, pływającego w nudnej cukierkowej aurze. Malarze angielscy zostawiają takie wyobrażenia o świecie, jak gdyby rzeczywistość można było gładzić ręką — aksamitna puwierzchnia gładzona dobrze utrzymaną ręką. Nuda.

Najjaskrawszym, aroganckim przykładem, że sztuki plastyczne nie są właściwą domeną — wszechstronnego skądinąd — geniuszu anglo-saskiego, to wystawa Yeatsa. Malarstwo Yeatsa to szczyt złego smaku. Znamienny jest i ten zły smak i fakt, że dyrekcja Tate Gallery uważała za właściwe umieścić kilkadziesiąt płócien Yeats'a w sali sąsiadującej z salą francuską. Nie przemawia przeze mnie żadna anglo-fobia, ponieważ Anglików bardzo szanuję i uważam za wielki naród. Stwierdzam tylko, że cechuje ich anty-talent plastyczny, jakaś niezdolność odróżnie-

nia piękna od brzydoty, skąd brak umiaru i smaku tak w malarstwie i rzeźbie jak i w architekturze. Tę impotencję odziedziczyli po Anglikach Amerykanie. Widziałem w Stanach kilkanaście wystaw współczesnych, jedną gorszą od drugiej. Poszukiwania własnego wyrazu architektury amerykańskiej też długo dawały raczej wątpliwe rezultaty (np. cezarystyczne budowle Washingtonu). Dopiero w ostatnich czasach architektura Stanów zrzuciła — prawdopodobnie nie ostatecznie — naleciałości wzorów i tradycje kulturalne budownictwa angielskiego. I taki Rockefeller Center to już niewątpliwie arcydzieło. Spokój i harmonia gmachu pozwala porównywać artystyczną doskonałość tego rozwiązania przestrzennego do takich osiągnięć z tej dziedziny jak Place de la Concorde czy Kapitol rzymski.

Zresztą — wracając do geniuszów narodowych — bynajmniej nie sądzę, aby Słowianie odznaczali się większym talentem plastycznym od Anglosasów. W tych dyscyplinach artystycznych osiągnięcia narodów słowiańskich są nawet prawdopodobnie mniejsze, ale mniej też jest złego smaku i zarozumiałości a więcej — i to znacznie — niepokoju. Nie to, że coś się dzieje, ale może się dzieć.

Niech nie weźmie mi za złe Feliks Topolski, jeśli napiszę, że tylko w kraju o takim smaku jak Anglia, ten znakomity rysownik mógł zdobyć sławę malarską. Jego tematyczne, czytelne w swej alegoryczności płótna, mają jakieś genealogiczne powiązania z plastyką niemiecką. Może jest w nich coś ze sztuki postulującej, czy nawet specyficznego realizmu, ale na pewno znajdują się w bocznym nurcie malarstwa europejskiego — według mnie po za nim.

Te uwagi przypominały mi pałace problemy plastyki polskiej.

Od pewnego czasu nie mogę się wyzbyć niepokoju, że w umysłach nie-tórych działaczy kulturalnych t. zw. soc-realistów ułóżsamia się w malarstwie z wulgarnym naturalizmem. Byłoby rzeczą bardzo smutną, gdyby sztuka rewolucyjna miała nawrócić do przezycieżonych wzorów akademickich, do starego hasła reakcjonistów z Zachęty „maluj pan tak żeby było podobne, tak jak wszyscy widzą, maluj tak jak Rafael”. Z gwałtownym postulowaniem sztuki postulującej też trzeba uważać. Oczywiście muszą się zjawić nowe formy i nowe treści wyrazu plastycznego, czyli nowa sztuka. Świat burżuazyjny się zawalił, wobec tego i sztuka burżuazyjna musi przejść do muzeów. Przeżyjemy trudny okres przejściowy, okres poszukiwania, ale aby się w dziedzinie artystycznej tym zanadto nie epatować, warto zauważyć, że każdy etap historyczny jest każdorazowo etapem nowym, okresem mniejszego lub większego poszukiwania — nasza potrzeba poszukiwania jest,

obiektywnie stwierdziwszy, szczególnie gwałtowna i konieczna. Mówienie o kryzysie sztuki jest już dzisiaj banałem. Istnienie kryzysu uważamy wszyscy za fakt, a więc wierzymy w nadejście nowej sztuki, przystosowanej do nowych potrzeb i przeżyć społecznych. Absolutnie nie mam zamiaru negować, że twórczość artystyczna uzależniona była każdorazowo od zamówienia społecznego. Ale faktem jest również, że najwięksi artyści, aczkolwiek zmuszeni byli liczyć się z wymogami zamówienia społecznego, starali się zwykle z jego pęt wyzwolić.

Rembrandt żył w epoce i w kraju reformacji. Odbiorcą przestał być kościół i mecenas mieszczaństwa i cechów. Zamówienie społeczne żądało od malarza dobrego portretu. Ale Rembrandt był złym portrecistą i raczej mieli sukniarze odrzucając jego płótno jak i dowódca straży, gdy razem z kolegami oburzony na dzieło Rembrandta obstalował portret zbiorowy u Helsta. Bo Rembrandt nie malował strażników takimi, jakimi byli, ani takimi jakimi być powinni — jak proponuje literaturze soc-realistycznej Adam Ważyk — tylko traktował ich jako pretekst, a pieniądze strażników jako środek do przedstawienia swojego wyobrażenia o strażnikach, swego intymnego wyobrażenia ludzi w grze światła i cieni, w zmiennej tonacji walorów. Dzięki strażnikom Rembrandt doskonalił swoje rzemiosło, wprowadzał do malarstwa holenderskiego nowe, u Caravaglia podpatrzone elementy. Nie chciał kontynuować nie-rzeczywistego elizejskiego świata i boskich póz, które obowiązywały wyobraźnię artystów. Wprowadzał światło świeczki, klimat piwnicy, wprowadzał prawdziwego chłopca i poezję. Był więc realistą, zrywał z renesansowym idealizmem i obrazami olimpu. Ale przyzwyczajeni do aktualnej konwencji strażnicy nie mogli tego zrozumieć.

Szczęśliwiej od Rembrandta wykpiwał się Velasquez, którego obowiązkiem było malować chwałę dworu hiszpańskiego. Zrećnie maskując się wspaniałością strojów i dekoracji, wielbił szaty rodziny królewskiej, przekazując nam równocześnie całą bezduszną głupotę ich twarzą. Jestem głęboko przekonany, że Velasquezowi znacznie bardziej zależało na doskonałości formy swego malarstwa, na fałdach sukien i grach kolorów, niż na kpinach z zamówienia społecznego.

Charakterystycznym przykładem może być tutaj szczytowy okres średniowiecza. Byli malarze, którzy w ekstazie religijnej malowali piękne obrazy, byli inni, którzy malowali nie gorzej, biorąc za modłę do madonn i świętych na wpół ubrane własne kochanki częstostwo z frywolnym wyrazem twarzy.

Taki Hieronim Bosch pozwalał sobie na przedstawienie

św. Hieronima jako chłopca z wędzonymi węgorkami za pasem, co było oburzające z punktu widzenia ówczesnej obojętnej doktryny artystycznej kościoła. Zapowiadał tym przewrót w sztuce, marsz ku laicyzmowi i ludowości — torował ścieżki dla Breugela.

Przypomina mi to dowcip krążący w środowisku warszawskich malarzy. Bardzo pobożny Krupczalowski z Kielc maluje św. Franciszka na kłęczkach. Wychodzi z tego jakiś ponury knot. Dobry święty chcąc dopomóc artyście zjawia się przed nim i mówi: Kochany Krupczalowski nie maluj mnie pan na kłęczkach tylko maluj mnie pan dobrze.

Nie polityk, nie papież, nie król czy cesarz Francuzów wytaczali nowe drogi sztuki. Licząc się z aktualnymi wymogami zamówienia społecznego, wytyczał je każdorazowo geniusz artysty.

„Zostawcie poetom chwilę radości, bo zginie wasz świat” — woła Czesław Miłosz. Dodał: zostawmy artystom dużo swobody, bo na długo usnie sztuka.

Jestem głęboko przekonany, że prawdziwy artysta, lepiej niż ktokolwiek inny odczuje istotne potrzeby zamówienia społecznego, nawet gdyby pozornie gorszył i oburzał. Zawarte specyficzne elementy struktury psychicznej pozwolą mu znaleźć właściwą, zgodną z rozwojem historii drogę. Dlatego między innymi artyści w ogromnej swojej większości zasilali zawsze szeregi rewolucjonistów. A nawet ci, którzy politycznie wiązali się z reakcją, wbrew swoim poglądom, przez dzieła służyli sprawie postępu.

Dlaczego obawiam się pomieszczenia soc-realizmu z naturalizmem? Wiele jest tego powodów. Mogłbym zacząć od katolickiej strony. Od dawna jednym z najgroźniejszych objawów kostnienia życia religijnego i zaniku prawdziwego kontaktu Kościoła z życiem społecznym jest fakt nie tylko upadku, ale wręcz szkodnictwa kulturalnego współczesnej sztuki religijnej w Europie. Słodziejcie, nawiśnie realistyczne i tanto optymistyczne obrazki świętych i także figurki gipsowe, łatwe, proste, podnoszące na duchu — straszne. Nie wymagające żadnego wysiłku od twórcy i bez trudu czytelnego dla odbiorcy, nie zindywidualizowane, nie budzące żad-

nego niepokoju — kicze. Dla wszystkich dostępna, usypiająca dusze i psująca smak — współczesna sztuka religijna jest niczym innym jak wulgarnym naturalizmem a odpowiada niestety niektórym postulatom zbyt symplicystycznie pojętego soc-realizmu.

Widziałem w Londynie wystawę malarstwa dziecięcego analogiczną do tej, która mogła być oglądać tego lata w Sopotach. Podobieństwo zresztą zdumiewające i tylko w tematach — porażonych jeszcze wojną i śmiercią dzieci polskich — widoczna jest pewna różnica. Tematy angielskie, są trochę pogodniejsze, bardziej dziecięce. Ale dzieci widzą świat podobnie. Te, które wystawiały w Sopotach nie odłaziły na pewno nigdy reprodukcji impresjonistów, surrealistów czy Matissa — londyńskie prawdopodobnie też nie. I cóż się okazuje? Świat widziany oczami dziecka — jest światem Matissa lub Picassa, Makowskiego lub Czyżewskiego a nie fotografią rzeczywistości. Ich wyobrażenie o świecie jest realistyczne, ale nie ma nic wspólnego z naturalizmem.

Francuzi urządzają co jakiś czas wystawy artystów - amatorów z klasy robotniczej, robotników, kolejarzy lub szoferów. Są to plótka bliźże surrealistów niż naturalistycznej transpozycji widzonego świata. Często bardzo piękne i czyste nieczytelne w treści. Bo o coż w malarstwie chodzi? — Jeśli szukamy w nim treści anegdotycznej to będzie to opisywanie rzeczywistości — pewne pismo. Może też być grą barw czy światła i cieni — rodzajem muzyki. W każdym razie jest to pewien język, pewien sposób komunikowania się człowieka z człowiekiem, poszerzenia wiedzy o siebie i świecie. W tym miejscu należałoby postawić pytanie, co to jest w ogóle kultura ludowa i skąd się rodzi artystyczny głód człowieka — ale tego rodzaju problemy nie mogą być rozwiązywane w dzienniku podróży.

Można powiedzieć, jak Jerzy Wolff, że artysta, człowiek operujący pięknem, przypomina inżyniera operującego elektrycznością — jeden i drugi nie wie, skąd się bierze i jaka jest istota siły, nad którą włada. Wtedy słusznym będzie określenie, że w malarstwie chodzi o osiągnięcie pewnego

ładunku piękna środkami plastycznymi — i o nic więcej. Dlatego nie można wytłumaczyć naukowo i językiem komunikatywnym, dalekiego obraz jest dobry a drugi zły. Dlaczego mały fragment złotego muru jest źródłem nieraz znacznie głębszej radości od najbardziej podniosłej sceny alegorycznej. Można tylko znużonym, troskliwym wysiłkiem nauczyć nieumiejącego odczytywać piękno, nauczyć jak odróżnić obraz dobry od złego. Jest to bardzo delikatna praca. Dlatego, niestety, wielka sztuka, przynajmniej w chwili powstawania, jest przyjmowana przez bardzo tylko wąskie grono odbiorców, tworzona przez jeszcze znacznie węższe, czasem przez jednego człowieka. Ostatecznie, daleko odeszliśmy już od sztuki ludowej, wydoskonaliśmy nasz sposób reagowania i pojmowania, mamy za sobą wielowiekową pracę umysłów artystycznych, ogromny wysiłek myślowy — naturalizm został daleko za nami.

Rembrandt wytyczył drogi artystyczne pokoleniom młodszym od siebie malarzy. Bóg może Rembrandtem naszego czasu jest Picasso, a może jest tylko ostatnim bliskim zachodzący horyzont sztuki. Może nowy Rembrandt jest między nami, może zjawi się za parę lat. Nie wiem, jaka będzie jego sztuka i nie wierzę aby ktokolwiek mógł wiedzieć. Na pewno będzie wyrażała potrzebę nowego świata i nawet budząc opory będzie służyła historycznie uzasadnionemu zamówieniu społecznemu.

Właśnie przeczytałem dziś w prasie francuskiej recenzję z otwartej w Paryżu wystawy zbiorowej Vuillarda. Mniej więcej tak dowodzi burżuazjarska prasa francuska: sztuka Vuillarda jest subtelna i delikatna, jest olśniewająco piękna i głęboko humanistyczna, jest wspaniałym pomnikiem chwały burżuazji francuskiej — więc życie w tej epoce nie mogło być oparte na wyzysku, krzywdzie społecznej i antyhumanizmie, przeciwnie było to życie szczęśliwości powszechnej, pełne uroku i łagodności. Komuniści kłamią, głosząc zbrodnie i koniec burżuazji — warstwa, która stworzyła i tworzy tak wielką sztukę, nie stoi u progu zagłady — jest w przededniu odrodzenia. — W tak naiwny sposób stara się podnieść na duchu swych czytelników burżuazjarska prasa francuska, udowadniając tylko, że dla każdej ze stron walczących malarstwo stało się elementem rozgrywki politycznej. Ale Francuzi są bardzo inteligentni i burżuazjarska prasa nie chwyciłaby się tak tanich środków, gdyby kogośkolwiek trzeba było zapewniać, że żaden Vuillard ani nie ożyje ani nie odwróci losu burżuazji. Ten los jest przesądzony i świetnie ona o tym wie. Ale sztuka ginącej burżuazji jest sztuką wielką, głęboko ludzką i przejmującą. Postawmy jej epitafium ze strofy Słowackiego oddającego hołd poematowi litewskiemu w Beniowskim:

Jednak się przed tym
prematem wali
Jakaś ogromna ciemność
stolica
Coś pada — Myśmy patrzeli,
słuchali
To czas się cofnął i odwrócił
lica,

By spojrzeć jeszcze raz na
piękność z dali,
która takimi barwami
zachwyca
Takim różnym zachodzi
obłokiem
Idźmy — znów czasu Bóg
postąpił krokiem.

Żeby zamknąć temat soc-realizmu przytoczę opowiadanie — zaznaczając, że nie w celach dywersyjnych jeno pouczających, która mogłaby być anegdotą, gdyby nie była faktem, który zdarzył się przed trzema miesiącami w jednym z dużych miast polskich. Miejscowy spec od kultury trzymał mowę do malarzy, tłumacząc jak powinni malować w nowej rzeczywistości. Założył tymi słowami: „nie rozumiem dlaczego wy, którzy powołujecie się stale na sztukę francuską macie takie opory w stosunku do soc-realizmu, czy nie wiecie, że w Paryżu, już nie tylko soc-realizm, już jest nawet sur-realizm”.

Dobrze by było odpowiednich działaczy od kultury przeszkolić trochę na krótkich kursach historii sztuki.*)

Przychodzi mi na myśl, że te luźne i raczej eklektyczne rozważania snute w obcym mieście mogą być zrozumiane jako wyraz jakiejś anarchicznej postawy. Tak nie jest.

Nie traktuję bynajmniej artysty jako nadczłowieka, którego nie obowiązują żadne prawa obowiązujące społeczeństwo. Artysta ze społeczeństwa wyrasta, społeczeństwo kształtuje jego świadomość. Poczuć odpowiedzialności społecznej nie może opuszczać artysty, bo tylko wtedy służąc sztuce i doskonaląc swoje rzemiosło, będzie równocześnie służył społeczeństwu. Ale aby być wielkim artystą musi zachować wierność sobie.

Można powiedzieć, że zwrotenie nie oznacza i jest wzięty z lamusa nomenklatury idealistycznej. Będę się jednak przy nim upierał. Bo coż to oznacza, że artysta służy społeczeństwu? W jaki sposób? — Sposób jest tylko jeden. Tworząc coraz lepsze, coraz doskonalsze dzieła. Przez te dzieła będzie poszerzał i pogłębiał świadomość i skłonił przeżyć społeczeństwa. Będzie źródłem nowych radości, chwil wytechnienia i zachwytu, niepokoju i nowych poznawczych odkryć. Dawanie tych przeżyć jest wspaniałym powołaniem artysty. Ale aby mógł sprostać temu wielkiemu zadaniu musi czerpać z jakiegoś źródła siły twórczej.

Naturalnie pierwszym źródłem będzie jego talent, który albo ma albo nie ma, a którego mu żaden ustrój dać nie może.

*) Jeśli już jestem przy anegdotach to opowiem jeszcze jedną. Jeden z czołowych polskich głosicieli soc-realizmu, bardzo uczony i bojowy marksista był przed rokiem w Paryżu i wszystkim kto chciał i nie chciał wmawiał, że Leonardo miał kompleks sępa. Twierdził, że w każdym obrazie Leonarda gdzieś jest ukryty sęp, czy w twarzach, czy w fałdach szat, czy w chmurach. Oczywiście nikt poza nim tego sępa nie mógł dostrzec. Prawdopodobnie soc-realista był podobsesją niedawnej lektury Freuda i nie zauważył, że historia z sępem wywraca wszystkie jego teorie i wierzenia.

Tak to okazuje się, jak krucha jest nasza ludzka pewność siebie!

Poza tym jest życie dla twórczości, dla dzieła, wyłączone oddanie się powołaniu, nie ogładanie się na nic, tylko nauka i praca nad doskonaleniem własnego rzemiosła, czyli elementy związane z charakterem, z wiernością powołaniu, leżące poza sferą czyichkolwiek ingerencji. Rola artysty w społeczeństwie socjalistycznym? — Taka sama jak w każdym innym. Tworzenie dobrej sztuki i wierność powołaniu. Rola społeczeństwa? — Dać artyście materialne, techniczne warunki, do rozmowy z samym sobą, do walki ze swoimi słabościami, do walki ze zniechęceniem, nie wiarą w siebie i swoje dzieło. Być życzliwym widzem i słuchaczem. Rola ustroju? — Dać szczęście społeczeństwu.

Sądzę, że jak dotychczas, obecny ustrój polski lepiej niż jakikolwiek inny dba o rozwój życia artystycznego. I chociaż o jakiś czas odczuwam pewne obawy, należę do fantastycznych optymistów. Przesłanki tego optymizmu są bardzo proste. Po prostu wierzę, że ludy płyną w postęp, że ustrój stworzony przez klasę robotniczą będzie lepszy, szczerze bliższy i uczciwszy od poprzednich, że więc zjawi się nowa wielka sztuka. Może będziemy musieli z jedno pokolenie na nią poczekać, ale to nie jest tak bardzo długo. Nie wierzę natomiast w dobry wpływ na życie sztuki zwolenników prymitywnych rozwiązań, głosicieli taniego optymizmu i wszelkiego gatunku propagandzistów.

Rzeczywiście zachowuję się nierozsądnie. Obiecałem pisać reportaże z Londynu a dzisiaj wyszło coś w rodzaju dyktanckiego esseyu o malarstwie. Muszę się poprawić.

Dominik Horodyński

Jasne książki

Klub Jasnych Książek przeżywa obecnie pewien kryzys: pierwszych dwóch tomów poczyna braknąć. Wydawnictwo pragnie powtórzyć nakłady, wymaga to jednak co najmniej paru miesięcy. A tymczasem co począć? Czy zamknąć listę uczestników Klubu? Czy przeciwnie w dalszym ciągu nieprzerwanie nowych pozyskiwać? Albertinum wybrało tę drugą taktikę w pełnym zaufaniu do uczestników Klubu i do siły atrakcyjnej samych Jasnych Książek.

Ale trudno domagać się, aby nowi uczestnicy wplacali już teraz na KONFESJONAL i na PRZEDZIWNEGO WODZA, skoro książki tych doraznie ekspediować nie można. Trzeba więc na pewien czas zawiesić zasadę kolejności nabywania tej pierwszej Serii.

Ukazała się obecnie czwarta Jasna Książka, słynna na świat cały — powieść Franciszka Werfla PIESŃ O BERNADECIE. Pierwszeństwo w jej otrzymaniu będą mieli oczywiście ci członkowie Klubu, którzy zgłosili się w samych jego początkach i już wykupili trzy pierwsze książki. Muszą się jednak pośpieszyć z zamówieniem. W razie dłuższego namysłu i zwłoki w przekazaniu należności, wydawnictwo nie może gwarantować przechowywania dla nich egzemplarzy, na które jest już popyt ogromny.

Czwartą i piątą pozycję Serii pierwszej będą również książki, o których głośno w Polsce i w świecie.

Więcej dalszych zgłoszeń na Jasne Książki oczekujemy.

wnętrze
i wystawa



Warszawa,

PL. GRZYBOWSKI 2.

Zygmunt Lichniak

N A D S T A F F E M...

1. SLNIEJSZY NIŻ CZAS

Poezja Staffa przemawiała do każdego pokolenia ostatniego półwiecza. Do każdego przemawiała inaczej. Dla jednego był Staff przede wszystkim twórcą „Śnów o potędze”, które umożliwiły ucieczkę z płaczącej melancholii i mglistych niwanczności moderny, dla drugiego był piewą radosnej, witalistycznej prawie afirmacji życia, która w tomie „Ptakom niebieskim” wybuchła dionizyjską niemal pochwałą „wszystkiego, co jest” i w atmosferze burzliwej okolic r. 1905 stać się mogła pobudką do nowych czynów i nowych wysiłków, dla innych wreszcie był Staff autorem „Tęczy łez i krwi”, wznoszącej się nad pierwszą wojną światową, dla współczesnych jest podobno „poetą akompaniamentu”, wyrazem mądrej rezygnacji, apoteozą szlachetnego kompromisu, martwą pogodą.

Czym jest jednak dla najmłodszego pokolenia dojrzałych? Dla tego, które zrodziło się w niespokojnym roku przewrotu majowego, a dojrzało goryczą wojny, bólem walki i trudem powojennych wysiłków? Zdaje się, że nikt nie ma prawa o tym mówić, tylko przedstawiciele tych właśnie roczników, do których Staff — nie ten z „Wyborów szkolnych”, ale ten prawdziwy, pełny i wielki — trafił po raz pierwszy w dni ukryte przed łapaniami, w wieczory zaciemnionych okien, w noc, oczekujące na łomot niemieckich butów o drzwi.

Dlatego o tym właśnie Staffie, Staffie mojego pokolenia, chcę pisać. Nie wypowiem na pewno sądu wszystkich, ale na pewno także — to wiem i to upoważnia mnie i zachęca do podjęcia trudnego zadania — nie będę mówił tylko o swoim przeżywaniu, o swoim stosunku i wrażeniach. Nie określe postawy tych rówieśników, którzy zapomnieli, że walka o człowieka rozgrywa się przede wszystkim w kategoriach moralnych, ale uda mi się chyba, chociaż w przybliżeniu, dać wyraz przeżywaniu Staffa przez tych, którym słowa piękno, dobro i mądrość sumują się w słowie Bóg.

Jeśli do dorobku myśli krytycznej, poświęconej twórczości Jubilata, wypowiedź ta, która będzie raczej próbą analizy impresyj, niż szkicem naukowym, wniesie bardzo mało lub nie wniesie nic, spełni mimo to swoją rolę, jako wyraz głębokiej czci i wdzięczności, należnej poecie.

Zwolniony charakterem tej wypowiedzi od obowiązku historyczno-literackich wstępów i wszelkich dociekań wpływo- socjo- i cytologicznych, zaczęło od sprawy bardzo nienaukowej i dla wielu może bladej, a dla mnie bardzo istotnej, od wspomnienia.

Była jesień 1942 roku. Jedną z najmłodszych jesieni okupacji. Każdy dzień trwożył wieściami z frontu, z Zamojszczyzny, z nowopowstającego getta. Jeden z tajnych „kursów literatury”, które organizowałem dla młodzieży o rok lub dwa ode mnie młodszej, dobiegał końca. Przyszła właśnie kolej na wieczór Staffa. Pamiętam dobrze. Czytałem niezbędne „Kowala”, melancholijną „Wejmutę”, niezapomniany „Deszcz jesienny”. W programie miałem około dwunastu wierszy. Przeczytałem prawie pięćdziesiąt. Godziny mijały w cichym, głębokim zaskuchaniu. Staff emanował, urzekał, osnawał słuchaczy tysiędami nici wspólnoty, zdobywał dla niej. Kiedy godzina policyjna nakazywała przejść się do domów, inaczej, niż zwykle, wszyscy się żegnali. Jeden ze starszych słu-

chaczy kursu pożyczyl „Łabędzia i liść”. Mówił, że przeczyta sobie kilka wierszy, gdy będzie mu bardzo źle. W programie każdego wieczoru przewidziany był po recytacji utworów krótki komentarz historyczno-literacki (najczęściej zresztą wzorowany na Czachowskim czy na wet Feldmanie). Przy Staffie byłby czymś śmiesznym. Wszyscy zrozumieli rzecz wielką. Nie tylko zrozumieli, przeżyli. Gdy później zapytywałem, na czym polega to zrozumienie, na czym polega to przeżycie, nikt nie umiał mi odpowiedzieć. I ja — „wykładowca” też nie umiałem. Ale do dziś pamiętam krąg tamtych młodych, prześwieconych wzruszeniem twarzy z okupacyjnego wieczoru, pamiętam dźwięk słów poety, słów, które trafiały, budziły, zapadały głęboko. Do dziś pamiętam wzruszone zawstydenie zwalistego jak kłoda młokosa w wieku „przedpoborowym”, który pożył czał tomik w mozaikowej okładce, aby czytać, gdy mu będzie bardzo źle.

Nie tłumaczcie tego młodzieńczą egzaltacją jednego wieczoru, nie tłumaczcie tego patosem tamtych dni, zaciemnionych oknami, emfazą gestu, nastrojem, atmosferą. Tam to było przeżyciem, faktem. W takich przeżyciach i w takich faktach tkwi koniec nici, która prowadzi do kłębka tajemnicy. Jestem głęboko przekonany, że tamtego wieczoru stanąłem przed tajemnicą Staffa, najgłębszą tajemnicą jego poezji. Nie widziałem przed sobą żadnego tropu, czułem, że chwyciłem w rękę nie ważną i mocną, ale za trudną była wędrówka do kłębka.

Bo jak można było wtedy wytłumaczyć sobie i innym, że w dniach, kiedy już rozstrzelivano i wieszano na ulicach Warszawy, ktoś nie mógł nie zachwycać się „Deszczem jesiennym”, mógł przeżywać „Wejmutę”, musiał myśleć nad „Mistrzem Twardowskim”? Co miał „Kowal” do Zamojszczyzny? Jakież był związek „Pogody jesienniej” czy „Prośby o skrzydła” z budową getta? Jaka siła sprawiła, że tam paliły się granice i krwawiła ziemia, a tu:

„Są jeno sny... Godziny, dnie
snu... Jeno życie...

A w śnie się przywiduje twarz
wraża lub bratnia...

Nie ma móżr złych, ni dobrych...
lecz prąd lub rozbić...

Godziny... Rania wszystkie,
zabija ostatnia”.

i był w tym jakiś sens głęboki, jakaś prawda rzetelna, jakaś siła krzepiąca? Jak zrozumieć, że tam ludzie zabijali ludzi, bili żandarmską pięścią, w zmiażdżony nos milożącego uparcie więźnia, a tu ktoś mówił: „Pokój wszystkim wieczornom”... — i słowa stało się wieczorem pełnym spokoju?

Nie da się tego wytłumaczyć ucieczką od rzeczywistości. Przeciwnie: to było wejście w głębszą rzeczywistość z nową siłą. Jaką, czyją, skąd? Dlaczego Staff jest silniejszy niż czas, dlaczego obdarzył moje pokolenie siłą potrzebną w walce z okupantem, chociaż o okupacji, Niemcach, Oświęcimiu i getcie ani słowa nam wtedy nie mówił?

Jak dotrzeć do odpowiedzi? Liczyć zgłoski, segregować warki, klasyfikować metafory, rymy, asonanse? Można zagubić się we wpływo-logicznych dociekaniach, zasypać każdy tom dziesiątkami socjologicznych komentarzy, przekopać każdy wiersz wzdłuż i wszerz w żmudnych poszukiwaniach formalistycznych — nie dotrze się do tajemnicy Staffa, objawionej tamtego wieczoru. Zdaje mi się, że leży ona głębiej,

lub — jak kto woli — wyżej. Wtedy nie wiedziałem gdzie. Dzisiaj, zdaje mi się, wyraźniej widzę drogę, która do niej prowadzi.

2. POETA DOSKONAŁEGO ŁADU

Staff zdobył moje pokolenie do skonałym ładem konstrukcji swojego świata poetyckiego. Doskonałość tego ładów polega na ponadczasowej sile proporcji piękna, mądrości i dobra w każdym jednorazowym przeżyciu poetyckim, na tym, że każdy utwór Staffa jest wyrazem tego, co niezmiennie w człowieku, tego, co wiecznym odchodzi, aby wrócić. Dokładniej: twórczość Staffa jest dokumentem zwycięskiej postawy człowieka wobec życia, postawy, która uwzględniając obydwa porządki — przyrodzony, naturalny i nadprzyrodzony, boski — z obydwojma uzgodniła swoje postulaty i zobowiązania, w obydwu znalazła połączenie dające pełnię człowieczeństwa. Jeszcze dokładniej: dorobek poetycki Staffa całokształtem swoich osiągnięć wyraża najgłębszą prawdę życia, ukazuje najgłębszą jego wartość: harmonię piękna, dobra i mądrości.

Po szersze określenia trzeba się uciec do bardziej peryfrastycznych sformułowań. Może one pełniej przedstawią istotę zagadnienia.

W psychice twórcy i odbiorcy każdego utworu poetyckiego (czy w ogóle utworu literackiego) istnieje ją trzy strefy, z których każda posiada odrębną, na bliższe jej elementy utworu bardziej wyczułoną wrażliwość. Są to strefy wrażliwości estetycznej, etycznej i intelektualnej. Wrażliwość ta w różnych typach psychicznych jest bardzo różna. Nie ma osobnika, który pozbawiony byłby którejkolwiek ze stref (np. wrażliwości etycznej czy estetycznej), ale z drugiej strony nie ma psychiki o jednakowej wrażliwości każdej strefy. Stąd u jednych przeważają w całości życia psychicznego doznania estetyczne (np. u twórców średniowiecznego moralitetu), u innych doznania estetyczne (np. u pamasistów francuskich czy — aby głębiej w przeszłość sięgnąć — u poetów ronsardowskiej „Plejady”, jeszcze u innych operacje intelektualne (np. u racjonalistów XVIII wieku, pozytywistów XIX czy neo- pozytywistów XX). Stąd też biorą różne sposoby rozumienia literatury. Pierwsi będą ją uważali za sztukę istniejącą dla samej siebie, drudzy — jeśli uprościmy sprawę — będą w literaturze widzieli ambonę lub konfesionął, trzeci wreszcie przypiszą jej przede wszystkim funkcje poznawcze i określa jako formę ideologii. Każdy z tych sposobów traktowania sztuki słowa jest określony (ale nie zdefiniowany) zespołem warunków historycznych, socjologicznych i psychologicznych, ostatecznie jednak tłumaczy się, nie wyjaśnia, do dzisiaj ani przez historię, ani przez socjologię, ani przez psychologię odmiennością indywidualną ludzką. Żaden z tych sposobów ujmowania zjawisk literackich nie daje pełnego przeżycia, zasadzającego się na równowagę, na harmonii doznań etycznych, estetycznych i intelektualnych, żaden nie obejmuje całokształtu zjawiska. Nie angażuje całego człowieka. Tyle w tym winy odbiorcy, ile twórcy. Przewaga jednej sfery wrażliwości nad drugą, powodująca utratę harmonii, degradująca przeżycia innych sfer do roli doznań drugoplanowych, wynika z braku tej doskonałej równowagi w samym twórcy, a przez to i w jego

dziele. Im doskonalsze dzieło, tym bliższe owej równowagi, tym wyraźniej prowokuje do harmonijnego przeżycia, do syntezy, zasadzając się na równomiernej propozycji doznań estetycznych, etycznych i intelektualnych. Doznania te są praktycznymi ekwiwalencjami piękna, dobra i mądrości. Ich harmonijne zestrojenie jest cechą charakterystyczną wszystkich dzieł, które przeżyły swoją epokę, pozostały żywe na zawsze, weszły do klasycznego apogeum literatury pięknej. Drugą cechą dzieł tej klasy, łączącą się organicznie z pierwszą, jest zdolność podnoszenia jednostkowych i jednorazowych — zdawałoby się — stanów psychicznych do rangi ogólnoludzkich constansów, do roli wartości niezmiennych, bo ujmujących i zaspokajających niezmiennie potrzeby ducha ludzkiego. O utworach takich nie wiadomo, jak mówić: czy, że są piękne mądrością dobra, czy dobre pięknem mądrości, czy mądre dobrem pięknem. Każde z tych określeń jest słuszne, bo każde kryje za sobą tę samą prawdę: utwory tego typu mobilizują w człowieku to, co szlachetne, co trwałe, co niezbędne dla tworzenia życia pełnego ładów i szczęścia. Dają generalne dyrektywy, nie popadają w błędy konkretów, chociaż tak samo dalekie są od mglistości ogólników. Dlatego nie pod starzeją, bo mówią o rzeczach niepodległych przemijaniu. Mądrość, piękno, dobro — nazwane tysiącami imion — pozostaje od czasów Homera niezmiennione.

I to chyba tłumaczy tajemnicę siły Staffa. Dlatego chyba w tamten wieczór nie był on ucieczką od rzeczywistości, ale przeniknięciem do jej najistotniejszych wartości. Dlatego chyba młody chłopak — nie zdając sobie z tego sprawy — pożyczal „Łabędzia i liść”, aby czytać, gdy będzie mu bardzo źle.

To rozumienie Staffa przez moje pokolenie jako — przede wszystkim — poety doskonałego ładów, tłumaczy się chyba dwoma względami, dwoma przyczynami. Moje pokolenie poznawało go zaczęło, gdy główne wiązania konstrukcji świata poetyckiego były już zakończone, gdy „Martwa pogoda” miała całą budowlę pokryć słoneczną kopułą. Łatwiej było ów ład uchwycić nam, którzy widzieli już profil wykonanych wiązań, niż tym, którzy raczej przeczuć i domysłem zarys przy szłego gmachu odgadywać musieli. To jedna przyczyna. Druga jest dużo istotniejsza. Moje pokolenie wyraźniej niż inne tęskni do ładów w człowieku i wokół człowieka. Wojna, konspiracja, powojenne wynurzenie się nowego świata z chaosu kazało szukać jakichś wartości stałych, zharmonizowanych, które bezład określiłyby jako prowizorium, jako moment przejściowy, jako nieuporządkowany jeszcze ład, a nie jakiś permanentny stan ludzkości. Taką wiarę, więcej: taką pewność dawała — między innymi — poezja Leopolda Staffa. Wskazywała wartość constansów.

Zanim pokuszę się o uokreślenie ogólnie dotychczas charakteryzowanej postawy wobec poezji autora „Gałęzi kwitnącej”, obawa przed nieporozumieniami dyktuje kilka zastrzeżeń i uzupełnień. Przede wszystkim chciałbym przypomnieć jeszcze raz zastrzeżenie początkowe. Nie wypowiadam sądu wszystkich rówieśników i zdaję sobie tego sprawę. Nie wypowiadam także sądu tylko mojego, to także wiem na pewno. Dalej: zdaję sobie doskonale sprawę ze schematyzacji wywodu o trzech strefach wrażliwości

i potrzebie jednakowego ich angażowania w percepcji utworu. Całe rozumowanie miało tylko w ogólnych liniach nakreślić wagę psychicznych ekwiwalencji piękna, dobra i miłości zharmonizowanych w doskonałym dziele sztuki. Wreszcie uzupełnienie końcowe: podkreślając walory constansów poezji Staffa nie miałem i nie mam zamiaru twierdzić, że jest to oderwanie od życia, od jego społecznych konsekwencji, ale uważam, że jest to rozpatrywanie i kształtowanie życia na jego najistotniejszej płaszczyźnie, na płaszczyźnie generalistów, określających a nawet determinujących konkrety poszczególnych wydarzeń historycznych. Oczywiście jest także rzeczą, że przy pisując te wartości poezji Staffa, nie odmawiam ich poezji innych twórców innego okresu, chociaż nie zamierzam ukrywać, że w literaturze ostatnich stu lat nie mógłbym znaleźć porównania. Dodam wreszcie, że uznanie wszystkich afirmatywnych walorów pisarstwa autora „Śnów o potędze” nie zabrania wtrącić kilku uwag negatywnych, na które znajdzie się może miejsce w dalszym toku wypowiedzi.

3. U ŹRÓDEŁ STAFFOWSKIEGO PIĘKNA

Zbliżając się do zagadki uroków poetyckich Staffa, pragnąc zaspokoić ambicję uokreślenia odpowiedzi na pytanie dotyczące źródeł piękna, dobra i mądrości jego poezji, najlepiej chyba wczynać się w „Martwą pogodę”. Ona sumuje Staffa. Wszystkie chyba jego cechy charakterystyczne dooczekwały się tu swej krystalizacji, wszystkie prawdy głoszone w pięćdziesięcioletniej wędrówce, znalazły swoje potwierdzenie lub korektę, wszystkie zmiany, cała ewolucja poety ma tu swój poetycki komentarz. Jeszcze raz rozbrzmiewają w niej wszystkie „górne tony”, ale jednocześnie w wierszu „Natchnienie” wywieszono dla zbytnich śmiałości krytyki znamienne ostrzeżenie:

„...z jakiego zdroja

Te górne biją tony,

To tajemnica moja.

Wstęp obcym wzbронiony”.

Żyliśmy się z poezją Staffa, jest nam droga i bliska, nie czujemy się jej obcy, dlatego tajemnica ta — chociaż w części — powinna być naszą tajemnicą.

Jakie drogi prowadzą do źródeł staffowskiego piękna?

Najwny wpływolog odpowiedział by pewnie bez zająknięcia: drogi manieri literackiej polskiej moderny lat 1890 — 1910! I pochwytywany „Martwą pogodę” wytknęłyby w niej wszystkie — okutujące tam rzeczywistość od czasów Tetmajera i Przebyszczyńskiego — „topielice” (w „Śnie”), „protablice” (w „Zagadce”), „ogrodnice” i „noce wysokooczyste” (w „Pełni”) czy „ekstazy” i „Pegazy” (w „Powołaniu”). Przyczepiwszy się do „Pegaza”, zdemaskowałby tradycje neoklasycyzmu francuskiego, pastwiąc się nad „ronsardyzmami” „Martwej pogody”, których wyrazem miałby być Jowisz, Apollo, Cytareda (w „Przemianie”), przeróżne Zefiry, Flory, Gracje, Cyprydy i Kupidydy (w „Wiosnie”). Dowiódłby tym jednak czego innego, niż zamierzał.

Rekwizyty stylistyczne przestarzałych tradycji poetyki neoromantycznej i neoklasycyzmu nie są w poezji Staffa wyrazem bezpośredniej i zasadniczej jego zależności od tamtych okresów (choć na pewno świadczą o pewnych związkach z epoką), ale stanowią charakterystyczną cechę jego własnej poetyki, polegającą na umiejęt-

ści organicznego łączenia wszystkich środków ekspresji w jedną, syntetyczną całość powszechnego języka poetyckiego.

Cupido, Nike czy Cytareda inaczej grają w wierszu Staffa, niż w madrygale Morsztyna, czy napuszonej odzie klasyka lub parnasisty. Tam były ornamentem, tu są narzędziem uświadamiającym niezmienną pewnych nawrotów, powszechność pewnych przeżyć. Staff specjalnie nie unika akcesoriów, które w powszechnym mniemaniu opinii literackiej powinny już iść do lamusa, ale odkrywa ich wieczną przydatność jako środków ekspresji dla wiecznych spraw.

Jedną z takich wiecznych spraw jest piękno. Staff trafił do niego nie drogą manieri młodopolszczyznianej, nie na koturnach neoklasycyzmu, ale przez destylowanie wszystkich złożonych doznań estetycznych do doznań najczystszych najprostszych. Zatrzyma go każda trawka, muszelka, każdy odprysk marmuru, każdy zachód słońca i każde napisanie o sobie wiersz. O sobie, ale nie dla siebie. Dla człowieka. Zdrój piękna staffowskiego, z którego owe „górne biją tony“, to umiłowanie piękna tak czyste, tak bezinteresowne, że każde jednorazowe doznanie estetyczne podnosi poeta do orbędnego, bardzo głębokiego przeżycia etycznego i intelektualnego. Staff bowiem tym się różni w swoim rozmyśleniu w pięknie, że nie dla samego piękna te uczucia powstały, ale dla miłości Boga i człowieka. Tu nie chodzi o zachwycanie się pięknem, ale o zachwycanie pięknem innych. Ambicja ta rodzi dążność do ustalenia między przeżyciem, a mającym go ewokować w odbiorcy kształtem artystycznym, stosunku adekwatności. I tak jak w przeżyciu kilka obserwacji, kilka podnieć cząstkowych sumuje się w końcowym doznaniu syntetycznym, tak w każdym wierszu Staffa kilka świetnych okazji, porównań czy metafor kul minuje zwykle w zakończeniu utworu, w znakomitej poincie. Pointa Staffa często (jak np. w „Lokalce“, „Między przedwiośnia“, „Wisielec“, „Nike z Samotraki“ czy innych wierszach „Martwej pogody“ stwarza kapitalną formę dowcipu poetyckiego, często także (jak np. w „Burzy“, „Venus“, „Burzy nocnej“, „Ogrodzie“ czy innych utworach tego samego tomu) stanowi wypuklenie porównania mającego tłumaczyć całość obrazu lub rozszyfrować jego ukryty sens, prawie zawsze jest jednak — niezależnie od swojej roli konstrukcyjnej — zrekapitulowaniem przeżycia estetycznego. Dzięki temu każdy wiersz stanowi pozycję całościowo zamkniętą i nie do pominięcia w sumie wrażeń odbiorczych.

W różnych, mniej i więcej dowcipnych parodiach literackich karakaturowano i ową pointę staffowską i drugą charakterystyczną cechą formalną jego wierszy: wymuskaną składnię, arcypprawne szyki słów, wypolerowane do oślepiającego blasku metafory, wychuchane porównania, całą „arystokratycznąność słowa“. Tłumaczyła to u twórcy i tłumaczy wielka — i uzasadnio-

na chyba troska o doskonałość rzeźmiola poetyckiego, która nie u wszystkich sprowadza się do łamańców, bezprzecinkowości czy „rozkwiatającego zdania“. Najprzedziwniejsze w tym wszystkim jest to, że w najwyższej metaforze, najkunsztowniejszym porównaniu nie ginie bezpośrednio, szczerokość, nie umiera piękno, nie rodzi się przesada sztuczności. I jeszcze jedno: Staff potrafi mówić słowem najprostszym, najczystszy, najswobodniejszy. Metafory dodają skrzydeł słowom Staffa, nigdy nie ciąży im ołowiem. Czasem (jak np. wtedy gdy w przesłicznych „Arkanach“ z „Martwej pogody“ za mądry i zbyt uparty „lew nad księgą omdlewa od mozołu“) źle wypuszczona strzała trafia niecelnie, ale wypadków takich zanotować można nie wiele, i raczej w „Gałęziach kwitnących“, „Snach o potędzie“, niż w tomach większej dojrzałości poetyckiej. Mlejący lew jest typowym wyjątkiem potwierdzającym regułę.

To bliskie współzycie z metaforą, przenosi ją, nawet sinestezją czy kalamburem poetyckim wywoływała między wierszami omówień krytycznych oskarżenia o chłód, o klasycystyczny dystansik, o spokojną, zbyt spokojną alchemię słowa. Oczywiście absurd. Staff klasycyzujący formalnie, treściowo, wewnętrznie jest czystej wody romantyzmem, spadkobiercą ufności w siłę czucia i wiary.

Czy dlatego urzeka moje pokolenie? A więc znów zapalenie oskrzeli rozsądku? Znowu burdy duchowe i duchowe życie nad stan? Znowu jedność większa od dwóch? Wierząc, że dalszy tok wywodów jasniej określi naszą postawę, tutaj na wszystkie pytania odpowiadamy możliwie najkrócej: nie.

4. „MĄDRZEJSZE OD MĄDROŚCI...“

Kiedyś, kiedy delectowałem się jednym z moich „prawie białych kruków“, tomikiem, wydanym w końcu minionego stulecia w Petersburgu, a poświęconym zbiorowi zło tych myśli A. Mickiewicza, żalowałem, że nikt nie pokusił się o ułożenie podobnego zbioru myśli Staffa. Uchwyconoby wtedy łatwiej charakterystyczne podobieństwa i charakterystyczne różnice między dwoma poetami dwóch odrębnych światów.

Podobieństwa nie wymagają specjalnej wnikliwości szukającego. Nawet ograniczywszy swoją lekturę do „Martwej pogody“ znaleźć ich można nie mało.

Kiedy czytamy u Staffa, że:
„...coś w szaleństwach jest z młodości,
Wśród lotu, wichru, skrzydeł szumu,
Co jest mądrzejsze od mądrości I rozumniejsze od rozumu.“
(„Z nad ciemnej rzeki...“)

lub:
„Widzę na rynku anioły
I w tłumie mam swą pustynię.“
(„Dwoistość“)

Łatwo odkryć w pierwszej wypowiedzi znany stosunek do mędrca szkiełka i oka, a w drugiej dosłuchać się komentarza: „lecz oni nie widzą“ do staffowskiego „w tłumie“ dopasować mickiewiczowski rym: „nikt nie rozumie...“.

Ciekawsze są różnice. U Mickiewicza rozum i uczucie, jednostka i ogół — aby ograniczyć się tylko do tych przykładów — stanowią siły sobie przeciwne, nawet sprzeczne ze sobą, nawet wrogie sobie. Rozum zwalcza uczucie, uczucie buntuje się przeciw rozumowi, ogół nie uznaje praw jednostki, jednostka ucieka przed ogółem, łaknie samotności, ze skrajnego indywidualizmu przechyla się aż w solipsyzm, stamtąd już pochyłą drogą wędruje ku wiecznej melancholii, wiecznym pretensjom i niezadowoleniu.

U Staffa uczucia zostały podniesione do roli aparatu poznawczego, wzruszenie jest funkcją poznawczą, sprawniejszą niż operacja intelektualna. Ale to wcale nie znaczy, że poezja ma uciekać od rozumu. Poezja, a ponieważ u Staffa nie możemy jej oddzielać od życia, i życie dąży do poznania niewidzialnego. Funkcje poznawcze intelektu kończą się na granicy między widzialnym, a niewidzialnym. Niewidzialne można poznać już tylko drogą uczuciowych wzruszeń.

Zanurzam w Drodze Mlecznej
Ręce, jak w męce białej.
Będzie z niej chleb bajeczny
Mądrości doskonałej.
A kiedy chleb ten zjemy

U tajemnicy bramy,
Z radości zwiariujemy
I wreszcie świat poznamy.

(„Mądrość“, Martwa pogoda, str. 54)

Nie dowcip poetycki, ale hierarchizację istotną i obowiązującą w konstrukcji świata poetyckiego Staffa należy znaleźć w przytoczonym fragmencie utworu o znamienym tytule. Nie ma tu przeistaczania się dwóch światów, ale objęcie węższego przez szerszy, za węższy uznał poeta świat poznania rozumowego. Wytłumaczył to swoistą ontologią, swoistą metafizyką poetycką. Uniknął dysharmonii, ocalił harmonię wewnętrzną.

Ocalił także ład stosunków jednostki i ogółu. Dojrzał przede wszystkim cechy wspólne, łączące, genus proximum wszystkich jednostek, nie zrezygnował jednak z owej differentialiam specificam, która ocala prawa indywidualności, a nie buntuje przeciw światu, bo łączy z Bogiem, jedynym, ale jakże wspaniałym powiernikiem zwierzeń, których nikt nie zrozumie. Staff mając swoje tajemnice, gdzie „obcym wstęp wzbroniony“, ma z jednej strony pewność, że nie tylko z takich tajemnic składa się jego życie, że wiele ogniw łączy go z ludzkością całą, z drugiej strony wie, że Bóg jest tym wspólnym mianownikiem, który sumuje i godzi wszystkie indywidualne różnice.

W ten sposób, opierając się o romantyczną koncepcję świata i ludzi, przeprowadził w niej autor „Martwej pogody“ korektę, która uchroniła go od romantycznego pesymizmu, skrajności solipsyzmu i potknięć irracjonalizmu, a pozwoliła zamiast nie obejmującego wszystkich zjawisk ładu myślowego, wprowadzić zamykający się w harmonijnym całokształcie ład uczuciowy.

I gdyby przyszło mądrość poezji Staffa określić jednym słowem określiłbym ją jako mądrość uczuć.

Polega ona — jeśli można się kusić o lapidarne zsumowanie dorobku pięćdziesięciu lat twórczej pracy — na afirmacji wszystkich przejawów życia, jako podstawy do skonalenia istoty ludzkiej w dążeniu ku Bogu. Szaleństwa, cierpienia i gorycze mają swój konstruktywny sens, bo prowadzą do powolnego obejmowania całości, którą ożywia Bóg. Dlatego poeta nie żałuje niczego, co miało pozornie negatywne znaczenie w życiu ludzkim,

co kruszyło, łamało i napawało bólem, i choć „czas każde płacić wionny dług“, rozumie afirmacyjny sens takiej zapłaty i „wszystko spełniłby raz drugi“. Filozofia poetycka Staffa nie jest filozofią kompromisu, rezygnacji czy akompaniamentu, ale — jak powinnoby z poprzednich spostrzeżeń jasno wynikać — filozofię konstruktywnej wiary w celowość wszystkich doznań, wszystkich błędów, prowokujących do korekty, wszystkich przeżyć pogłębiających człowieka Bogiem.

Optymizm tej postawy, wywalczony z trudem i utrwalony powagą półwiekowego eksperymentu, stanowi w harmonii twórczości poetyckiej Staffa jeden z najistotniejszych, najbardziej konstruktywnych i najtrwalszych czynników. Wartość konstruktywną tego czynnika zwiększa fakt, że mamy przed sobą nie owoc postulatów, wychylonych w przyszłość, a wyrosłych z niesprawdzonego marzenia, lecz wynik pięćdziesięcioletniej walki o prawdę, dzięki której, choć nieznaną, pozostaje nie negatywna siła

„Ogniem przepala moje ciało,
Duszę mi toczy jak czerw sprzęty,
Spać mi nie daje przez noc całą...“

Tu znam istotną jej wartość i „wstaję wypoczęty“.

5. „I KAŻDE BLADE ŻDZBŁO TRAWY JEST JAK WSKRZESZENIE ŁAZARZA...“

Każdy wiersz Staffa jest wskrzeszeniem wiary w zwycięstwo dobra. Łączy się to niewątpliwie z ponadczasowym trwaniem piękna jego utworów i z ich integralną mądrością uczuć. Znajduje jednak swój niezależny wyraz w specjalnym języku, jakim pisane jest każde niemal słowo każdego tomiku: języku miłości. Przyjazny timbre każdego sformułowania, nawet w takich obrazkach jak „Wisielec“, „Zbrodniarz“, „Zebak“, czy „Skąpiec“, gdzie atmosfera dowcipu poetyckiego, usiłuje złagodzić ostrość problemu, znajduje swój odpowiednik i w wierszach o przedmiocie, zdawałoby się, mniej wymagającym przyjaznego uśmiechu i pogody, jak np. w „Lokalce“ czy apostrofie „Do wróbla“. Franciszkańska łagodność i miłość Staffa obejmuje jednak cały krąg poetyckiego widzenia, przesycąc wszystkie wypowiedzi, przebija z każdego porównania czy wykrzyknika.

I trudno odpowiedzieć, czy jej siła nie podbija więcej niż wszystkie poprzednie. Trudno odpowiedzieć, bo wiersze Staffa w równej mierze są piękną mądrością dobra, jak dobre pięknem mądrości i mądre dobrem pięknem...

Moje pokolenie w tym widzi ich najgłębszą wartość.

I gdyby mi dane było spotkać kiedyś czcigodnego Jubilata i mieć okazję wyrażenia mu naszej wdzięczności, nie umiałbym jej wrazić w czoło, jak dłonią pamięci z siebie wspomnień wydobywając tamtą wieczór okupacyjny, który obawiał młodym moim rówieśnikom piękno, mądrość i dobro prawdziwej, wielkiej poezji

ZYGMUNT LICHNIAK

Sieci rybackie cienkie i grube
Węże przeciwpiorowe tłoczne

Fachowość, długoletnie doświadczenie i sumienność zdobyły nam opinie klientów niezmienniej doskonałości naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS“ SP. AKC. GRODZIEK MAZ. SPÓŁDZIELCZA 2-7067

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

30

LOT JASKOLEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

— Na serio?

— Nieznośne jest twoje na serio. I obraźliwe. No, tak. Nie wszystko się robi na serio, niektóre rzeczy po prostu się robi. Ale wiesz, umówiłem się z paroma ludźmi na dziś wieczór, tu u mnie. Będzie Czelepiński, przyjdzie.

Jakiś czas przed paru laty odbierał jakiś telefon, to może był telefon Elżbiety. Ona bała się jechać w pośrodku nocy, nie chciała być świadomą. Znowu była niewiada. Inna, bardziej ogólna, bardziej ogólna. Na serio. Jednak, po prostu śmieszne: Dewin w czasie służby wojskowej wyrzucony z podchorążówki do pułku, nie tylko za brak stylu dowódcy, ale i za nonkonformizm polityczny, za nieprawomyślność. Dewin — czy to może dzięki Hiszpanii? — zgłaszający się do służby, przyjeżdżający z Paryża jakby do dalekiego Sjamu, aby wziąć udział w „konflikcie granicznym” swojej ojczyzny.

— Piotrze — powiedział, — przecież nie ma ojczyzny, przecież jest jedna Europa!

Wymijający gest niewiedzy, jaki zrobił Dewin, owo zaprzeczenie głową i rękoma, nie było zgodne z jego myślami. Przeciwnie, to Piotr doskonale wiedział: nie ma Europy.

— Jeżeli ma powstać Europa faszystwu, Europa ucisku, niech istnieją ojczyzny. Zresztą, co tu dużo gadać, i punkt widzenia ściśle egoistyczny: w czasie wojny na pańskim bruku będą przybłąkanym cudzoziemcem, tu będą miał swoje miejsce — w okopie.

Nędza, mefistofeliczny Nędza w swojej marynarce, nie przewidującej miejsca na krawat, zapiętej na haftki pod szyją, z twarzą grzuli, z resztką ceglanych wypieków na policzkach, bo już była noc, noc, która uspakaja chorych na płuca, przywraca im naturalność i równowagę fizjologiczną, utraconą po południu (popołudnie to okres skłócenia, niewymiarowości, niewiadomo czego w końcu; temperatura, rumieńce, piaskowy nalot na wargach; potem wieczór chłodny i orzeźwiający jak napój, wrażenie odprężenia, lekka energia, jak po szampanie, jak po małej dawce narkotyku — i noc cicha, ostygła, bez śladu zupełnie) z uśmiechem uporą:

— Nie ma walki z faszyzmem pod tarczą ojczyzn. To frazes.

— Więc co, może w paczce o nieagresji z Hitlerem, jak teraz, w Moskwie? To jest zdrada nie tylko rewolucji, nie tylko marksizmu, ale i Europy — rzucił się Czelepiński.

Ksawery przyglądał się im spod oka: może poza jednym Tadeuszem i trochę Piotrem, zapominali teraz o nim, nie liczył się dla nich. Chuda twarz Nędzy, o ściętym podbródku, zwrócona w stronę Czelepińskiego napastliwie, ruchem jastrzębia; gruba nalana o mięsistych wargach fizjonomia Nieborskiego — ten jeden nie brał udziału w dyskusji, jak ogórek, zaledwie obierał go ze skóry, wprawdzie wrzucał coraz nowe plasterki szynki na ten sam kawałek chleba. Było coś z misterium w tej sztuce, a może tylko jeednak nieumiejętność jedzenia: Nieborski nie umiał jeść chleba i szynki równocześnie, odgryzał wargami szynkę, męczył się, usiłując odgryźć tylko kawałek, w końcu zrezygnował, wsuwał cały plasterk do ust, żuł go w zamkniętych ustach, polykał i rozglądał się, czy na niego patrzą. Potem sięgał po nowy plasterk, Ksawery mu w pewnym momencie poradził:

— Niech pan weźmie teraz salceson, to się je łatwiej.

Nieborski się tylko roześmiał jak z dobrego żartu. Ta noc z kilkoma mężczyznami, którzy wszyscy byli czymś powiązani z gospodarzem, ale niczym ze sobą, noc bezpretensjonalnie łapczywa, wszyscy mieli tyle do mówienia, nikt się nie krępował takim przesadą jak stół i jedzenie, talerze z mięsem, chleb niepokrajany, wódka w odkorkowanych butelkach, kieliszki, szklanki — sam Dewin pił ze szklanki, naprzemian: wódkę, a potem herbatę, — to go wywalało. Odwracał przesydy, na które kiedy indziej trzeba było zważać. Jadł palcami, niemal z czu-

ścią patrzył na stół nie nakryty obrusem, na niedopałki papierosów i popiół, rozrzucone po talerzach, na podłozie, na biurku. Czuli się zobowiązani do przyjścia przez ciekawość, Dewin, wracający z Paryża. W końcu, dziś go nie obchodziły żadne nowości wydawnicze, i tak już nic nie było warto wydawać. Ale wojna, wojna. Tok rozmowy raczej go uspokoił, nieporządny bałagan — rozrzewnił. Przed tamtą wojną Nieborski mieszkał we Lwowie; pisał pracę z zakresu filologii romańskiej. Wojna nie dała niczego ukończyć, trzeba było zabrać się do spraw bardziej doraźnych, bardziej życiowych. Tak zostało — i przynajmniej za to miało się coś w tym życiu: piękne mieszkanie, konto w banku, żonę Polkę, nawet nowe fonetyczne nazwisko. Nieraz po pijanemu (a jednak, upijał się rzadko) zaśmiewał się, że wojna przyniosła mu indygenat. „W każdym razie indygenat kulturalny. Mam nie tylko nazwisko, ale i zasługi. I zasługi, moi drodzy”. Kochał ludzi tylko wtedy, kiedy był pijany, jakby pragnął im wynagrodzić całą oschłość i opryskliwość dni trzeźwych, dni interesu. Podolski, który znał jego żonę, twierdził, że Nieborski jest dobrym człowiekiem.

— W gruncie rzeczy — dodawał — o to nie chodzi. Powinien być mniej tłusty i nie mieć w sobie tyle rechotu.

Rozrzewniło go wspomnienie. Siedem lat chudych — to była młodość lwowska, kolacje o suchym chlebie i herbacie, luksus dwu serdelków, przyniesionych w papierze, rzeczy nieznanne: ciastka, wino, owoce, szynka. Z wyobraźni tylko, z lektury. Nienakryty stół właśnie tak jak wtedy, ta noc zbliżała się pod cień tamtych lat minionych, swoim prymitywem, niedbałością. Uspakajały go rozmowy. Nie niepokoił się tyle samym wybuchem wojny, ostatecznie, wojna — ale tym, że przeciwnikiem miały być Niemcy brunatni, Niemcy, które zdusiły u siebie wszystko: Ossietzky'ego, katolików, Manna, Żydów. Żydów nie tylko zdusiły: zanosili się na eksterminację, na walkę do korzenia. To właśnie przewidywał, przecież wojna tyle rzeczy odkrywa płaszczyzną. Ten sam mężczyzna, który w normalny dzień wiosenny nie ma odwagi zaczepić na ulicy młodej dziewczyny, na wojnie zgwałcił ją bez skrępowań na kwaterze, na brzegu drogi, gdziekolwiek. Wstanie w nim głodna arcybestia. Bynajmniej to nie wynik autonomicznej pracy fantazji Nieborowskiego czy jego organu myślenia. Po prostu, zapamiętana opowieść młodego oficera rosyjskiego, gdy w wojnie światowej Rosjanie zajęli Lwów. Rosjanin mieszkał w tym samym domu, co Nieborski — Nieborski coś od niego kupował, może nawet wódkę, może tytoń, już nie pamiętał. W każdym razie wtedy nauczył się pić. Nie mając już nic innego do roboty, żadnej innej szansy, Rosjanin schodził o piętro niżej z butelką w ręku, z butelkami w kieszeniach od spodni.

— Będziemy pić — zapowiadał. — I pan też musi pić — dodawał w formie przestrogi.

Pili po to, aby zabić noc, czas, nieraz nawet poranek — bez żadnej litości. Zwierzali się sobie, Rosjanin o kobietach, Nieborski o porzuconej filologii romańskiej i o fatalnym couple z handlem. Ale już wtedy się przekonywał do tego nowego zajęcia, już smakował nie tyle w nim nawet, ile w jego owocach. Jeszcze czasami, zwłaszcza pod wpływem wódki rodziła się tęsknota za filologią, jak za kobietą, którą się kiedyś zlekceważyło, ale której braku po piętnastu latach prób nie da się niczym zastąpić, zaspokoić: Ach, myślał Nieborski, nie wierzyć niczemu i nikomu, wyszydzić wszystko, wszystko. Był pewien, że żona go zdradzała. Nie wierzył w nic, nie miał zaufania, szydził do zatrucia. To Rosjanin mówił o sobie, że był taki nieśmiały, dziewczyny na ulicy wie czorem nie zaczepił.

— Jaby się bał... A dziś — skinięcie dłonią. — Ty, ty przyprowadź kobiety, albo nie, zaprowadź mnie do waszych kobiet... — Nachylał mu się nad twarzą potworny nala-

ny czerwienią pysk ludzki. Czerwony, spocny, na czole perły potu. Nie, jednak nie pysk: młoda śliczna męska twarz w udręce, w zapamiętaniu, w obsesji nie fizjologicznej wcale. Sam przyznał, że mu tego nie potrzeba, kobiet. Po prostu tylko poczucia, że jeszcze jest coś wart, że coś może zrobić z własnej woli, bez widma przymusu, bez nakazu wojny, dowódców.

— Rozumiesz (po nocach byli na ty, albo trochę szerzej: ty, jowej) — tego się nie da znieść, chodzić w tym mundurze, włożyć się z miejsca na miejsce, nie wiadomo za co, za cara. A niech już i rewolucja, nie będę za wadzać. Może i pomogę.

Nędza, mocniej opierając się plecami o poręcz krzesła, składając dłonie na kolana:

— Pakt o nieagresji z Ribbentropem? Cóż o tym możemy wiedzieć? Stalin musi mieć jakieś swoje ale, rachunki. Przecież nikt rozsądny nie uwierzy, że Stalin będzie podtrzymywał faszyzm. To nonsens. Czasami mi się wydaje, że niedość jest rozumieć marksizm, znać marksizm, aby już być marksistą. Nie wystarczy. Trzeba też wierzyć.

Śmiech Czelepińskiego, śmiech Dewina.

— W wodza narodów sowieckich?

Nieborskiego uspakajała ta dyskusja. Słuchając ich, jadło się dużo spokojniej. Był do śwycy czytany, w każdym razie na tyle, aby pamiętać Martin du Garda. I wtedy, tuż przed rokiem 1914, w kołach lewicy dyskusowano o wojnie. Przypomniał sobie, u Martin du Garda były to dyskusje trochę rozwlekłe, zbyt wielkie dłużyzny. Mimo to, na groda Nobla. Westchnął, co to za reklama dla firmy, taka nagroda! Ale u nas — z kim za czynąć kogo forsować Nałkowska, Iwaszkie wicza? Nie wydawali u niego swoich książek. Można by forsować. „Odbiegam od tematu — pomyślał, jakby przywołując się do porządku. Pociuszające jest to, że dziś nikt z nich nie jest przeciwny samej wojnie. Rozumieją, chcą się bić. Niemcy natrafiają na potężny opór moralny. Na pewno i we Francji, choć Dewin tak wątpiaco kiwał głową. Wydawało mu się rzeczą najistotniejszą z punktu widzenia strategii tej wojny, aby lewica francuska chciała się bić. „Naturalnie masy...”, powiedział do siebie. — Co tam Bonnet, czy Delbos, to tylko ministrowie. Aha, i jeszcze jest Ameryka. Ameryka nie pozwoli Niemcom w Europie na nic więcej. Czy oni tego nie rozumieją? Może — tym lepiej”.

— Tak — powtórzył Nędza. — Historia to nie tylko masy, nie tylko ekonomia. To także — człowiek.

Dewin hałaśliwie:

— Zaraz usłyszymy, że Stalin jest genialny.

Wzruszenie ramion.

— Jeżeli myślicie, że jest sprzedawczykiem, że go Hitler kupił zaproszeniem do Berchtesgaden... Po prostu, to jest gra; Stalin chce wojny i dlatego ośmiela Niemcy. Wciąga ich w awanturę, a potem?

Wtedy wtrącił się Ksawery z uwagą, że mit pacyfizmu przerznął sprawę bez reszty. Nikogo to bliżej nie zajęło. Nędza sposterzył, że zagadnienie jest bardzo proste; w grę wchodzi żywotne interesy klas i klik. Inaczej ich nie można rozstrzygnąć jak żełazem. Ostatecznie, czy dużo było pacyfistów w Europie? Przed faszyzmem w Niemczech bardzo dużo: cała klasa robotnicza w Zachodniej Europie. Bo wtedy pacyfizm oznaczał walkę z zasadą interwencji antysowieckiej. Stopniowo jak faszyzm utwierdzał się w Niemczech, jak opowiadał małe kraje środkowo-europejskie i wreszcie Hiszpanię, okazało się, że historycznie biorąc pacyfizm jest ideologią zbankrutowaną. Teraz nie mógł on już powstrzymać naporu imperializmów. Przyszłość mas mogła się rozstrzygnąć tylko w wojnie. I masy zaczęły się przygotowywać do wojny, do rozprawy. Wśród pacyfistów w Europie zostali tylko klerkowie. Jedni przez tępa wierność wobec pracona. Choć głupie, ale przekonania, trzeba być wiernym ideałom — wielu nowoczesnych głupców tak sądzi, życie ich wciąż od-

rzuca na bok jak mierzwę. Inni, w nadziei, że da się jednak wsadzić kij w szprychy historii: tylko pokój może uratować świat mieszczański, świat dziewiętnastego wieku, ratujemy pokój. Ta druga diagnoza była zresztą całkiem błędna. Kapitalizm pali się na dwu rogach, nic go nie uratuje. Zaczynał pięści, wzniesione ku górze:

— Nic!

Nieborski przyjął ten okrzyk filozoficzny, jako konieczny akcent deklamatorski. Nie wierzył, gdy Nędza twierdził, że kapitalizm nie wytrzyma już ani pięciu lat pokoju bez rewolucji socjalnej.

— Właśnie dlatego świat będzie rzucony w wojnę. I wojna pochłonie kapitalizm.

— Co potem? — zapytał Nieborski.

— Rewolucja światowa — oświadczył Nędza. — Rewolucja w pokonanych Niemczech, rewolucja w zniszczonych wojną starych kolebkach kapitalizmu. Może jedna Ameryka wytrzyma to ciśnienie, ale nie na długo.

W przeciwstawieniu do Lewina, dla którego świat przedstawiał się jednak w sposób odrobinę cyrkowy, mimo, że budził tyle z kłopotania (właściwie, zakłopotania Piotra rodziło się na tle wadliwego zestawienia numerów programu. Były tak ułożone, że musiał wyznaczyć jakiś dramat, na całe szczęście dramat w cyrku, to dawało sytuacji pewną ryzykowność, ale i brak zobowiązania; przecież po przedstawieniu z cyrku się po prostu wychodzi, choćby nawet w porokach członków rozdrażnionej niebacznie me nazerii), w przeciwstawieniu do Nieborskiego, który dał się ogarnąć sentymentalizmowi, zwracała w Ksawerym uwagę śmiertelna powaga ludzi takich jak Nędza, jak Tadeusz Czelepiński. Przypominał sobie ostatnie rozmowy z Konradem w Zarmolińcach: Konrad starał się nic nie powiedzieć. Był przeniknięty zinnem jak przed trudnym biegiem pływackim, przed biegiem obliczonym nie na dystans, a na wytrzymałość. Szykaną ze strony organizatorów było to że jakiś czas należało płynąć pod prąd, a reszta trasy była po prostu jeszcze niewiadoma. Konrad sprawił na Ksawerym wrażenie jak gdyby starał się wejść w stan wojny z najwyższym bagażem problemów, jak najmniej zabrać ze sobą na tamten brzeg, wszystko zostawić tutaj, w depozytyce milczenia. Była jednak różnica między śmiertelną powagą Nędzy i Czelepińskiego: dla pierwszego bieg wypadków rozwijał się według przewidzianego planu, był racjonalny, wynik nie podlegał dyskusji. Dyskusji w żadnym sensie, ani w tym, czy w ogóle ta rzecz mieć będzie miejsce, ani w tym, w jakim stopniu jest pożądana, czy czegoś w niej nie należy zmienić, poddać krytyce. Nędza żądał przyjęcia całego planu en bloc, nie zależało mu zresztą na głosowaniu, był pewny, że rozwiązanie po myśli jego rozmowy zostanie narzucone w sposób obiektywny. Inaczej Czelepiński, przeciwnik, nie był pewien własnej słuszności, chciały ją roztrząsnąć, zbadać, ustawić w jakimś ogólnym kompromisie, nie w trybie narzuconego dogmatu. Gotów był dopuścić do głosu czynniki irracjonalne, — „to najczystsza Brzozowszczyzna” — krzyknął mu Nędza.

— Doprawdy, wolę już antynaturalizm i konwencjonalizm naszego Piotra, niż pana drażliwości, które są po prostu zdradą proletariackiego obozu. Proletariat nie potrzebuje w nic wierzyć, co innego jest zaufanie do człowieka, który stoi na jego czele. Proletariat musi tylko zrozumieć bieg historii i w sposób żelazny iść za logiką dziejów. Wiara?

— Choćby w to — odpowiedział Czelepiński — że walczy się nie o sam chleb, ale o postępek, o ideał. O lepsze urządzenie świata nie tylko w sensie rozdziału dóbr, ale w sensie ich jakości —

— Frazesy, frazesy — zaprzeczał Nędza.

— Łatwo jest tak załatwić sprawę — rzekł Tadeusz, — ale w ten sposób nie reguluje się cudzego głębokiego niepokoju.

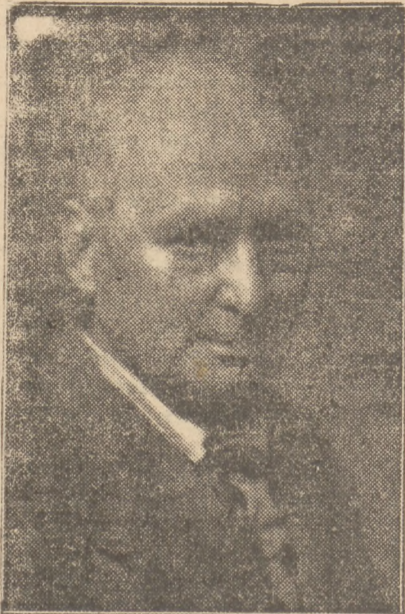
— Cóż mówi panu pański głęboki niepokój?

— Tak, właściwie chodzi oto, że potrzeby materialne nie wyznaczają bez reszty, bez dużej reszty, pebudę człowieka. Obok potrzeby, która wywołuje ludzką działalność, wolę naszą w sensie sprawczym rozwija także przekonanie, krótko mówiąc — wiara.

(C. d. n.)

Aleksander Gella

XAWERY DUNIKOWSKI



W reprezentacyjnej części Muzeum Narodowego gwarano. Gromada robotników i studentów otwiera skrzynie z dziełami sztuki przybyłymi trzema wagonami z Krakowa. Rzeźby, obrazy, rysunki i fotografie wydobyte ze starannych opakowań wędrują każde na swoje miejsce. Potężne figury zstępują na środek sali, biusty portretowe wędrują pod ściany, gipsowe głowy wspinają się wysoko pod strop, by oczyma niemniej zdziwionymi niż oczy żywych patrzeć nieruchomo na te dziwne poważną krzątanie. Puszcza jeszcze ściany zasłaniają zwolna obrazy, w których poznać niechybnie te samą rękę twórczą co w rzeźbach.

Pod ciężarem wielkich eksponatów uginają się grzbiety dźwigających ich młodych ludzi. Przed niespodziewanymi efektami kolorystycznymi obrazów lub zachwycającą kompozycją brył zatrzymują się pracujący przy urządzaniu wystawy studenci. Ogromem wznurzającego się przed oczyma widzą dzieła przytoczeni są wszyscy. Obaj komisarze wystawy, prof. dr Michał Walicki i Stefan Flukowski przemierzają pośpiesznie dwa piętra Muzeum kierując w pocie czoła pracą nad ekspozycją wystawy. Trud to melada. Jest do rozmieszczenia 151 rzeźb 20 obrazów i 35 rysunków.

Patrzę po pomnikach, portretach, płaskorzeźbach i myślę o twórcy. Cóż to za wulkan musiał wyrzucić z siebie to dzieło? Tytanicznej, żywiołowej wrośniętej sily trzeba, by zakłócić w kamieniu lub drzewie tyle ducha, tyle myśli, tyle uczuć. Zjawienie się artysty — twórcy w jego cielesnej powłoce we własnym muzeum wywołuje coś więcej niż zdziwienie. Nięgi drobny staruszek, sterany pięcioletnim pobytom w Oświęcimiu, ani świątkowa, ani łagodna twarzą nie zdradza tej wewnętrznej mocy, która polskiej kulturze artystycznej przyczyniła tyle plastycznego dorobku.

Profesor Xawery Dunikowski urządza dziś swoją jubileuszową wystawę. Jest ona przeglądem pięćdziesięcioletniego dorobku, owocem żarliwej namiętej pracy całego życia artysty. Ale wystawa związana jest nie tylko z jubileuszem. Jest przede wszystkim przedstawieniem społeczeństwu polskiemu wielkiego daru ofiarowanego przez artystę Ojczyźnie. „Kluczem tym pragnę wziąć bezpodważny udział w odbudowie kulturowej naszego na socjalistycznych zasadach opartego państwa” — powiedział o swym czynie prof. Dunikowski.

Dzieło tego życia wystawione na razie w Muzeum Narodowym, otrzyma w przyszłości pałac pod muzeum inżyniera artysty, które stanie się pierwszym tego rodzaju wielkim pomnikiem polskiej kultury plastycznej.

Wreszcie ruszam w ten „las rzeźb” — jak nazwał wystawę Kazimierz Wład. Po długiej wędrówce bez zatrzymywania się pod poszczególnymi gałkami wsłuchując się (czytaj: wpatrując) w jego szum, onada mnie taki natłok myśli dotyczących całości, że

zajmowanie się poszczególnymi arcydziełami odkładam do jutra. Teraz trzeba czym prędzej rzucić na papier bodaj część myśli, by się uwolnić od ich ciężaru.

Notuję więc kolejne spostrzeżenia:

1) Dunikowski nie ma żadnych poprzedników ani w sztuce polskiej — to oczywiste — ani w światowej. Jest do głębi autentyczny.

2) Przełamał w rzeźbie konwencje nagłości. Pokazał że fałdem sukna można równie wiele powiedzieć co mięśniem, a zarazem dzieła swe wyzwolił od konwencjonalnej piękności.

3) Dunikowski jest charakterologiem o genialnej wnikliwości.

4) Jest doskonałym psychologiem snującym filozoficzne refleksje. Fenomenalnie odtwarza stany kobiecej duszy.

5) Twórca poszukiwał całe życie zwięzłości w wypowiedzi. Lapidarność formy osiągał stopniowo. Doszedł wreszcie do wspomnianych skrótów myślowych jakie zdarzają się w dziełach wszystkich gałęzi sztuki, tylko bardzo rzadko.

6) Zupełny brak prac czysto abstrakcyjnych obok nie bującego nigdzie wartości artystycznych, pełnego logiki związku z tematem.

7) Dunikowski jest rzeźbiarzem epoki. Jest pierwszym wielkim plastykiem rewolucji proletariackiej. Jest w swej twórczości antymieszczańskimi i antykonwencjonalny. Jego twórczość ma wyraźne oblicze społeczne. Ma to nawet pewien związek z tworzywem. Ułubionym materiałem artysty jest drzewo. Charakterystyczny jest natomiast zupełnie brak na wystawie marmurów.

A teraz wrażenia z dnia następnego, w którym to można łatwiej zatrzymać się przed pojedynczymi pracami.

W centralnym punkcie wystawy ustawiono „Grobowiec Bolesława Śmiałego”. Szczytowe dzieło artysty z okresu paryskiego, powstałe w latach 1916/17.



Lata największego nasilenia marzeń i tęsknot Narodu za własnym bytem państwowym zbiegły się z właściwym momentem rozwojowym ducha artysty, który przechodząc przez przynębiający pesymizm i następujące po

nim fale radości życia, dojrzał już wówczas do zagadnień państwowonarodowych. Wtedy to artysta-tulacz, mimo wyjątkowo ciężkiego położenia finansowego, dźwigając do pracowni na własnych plecach gips i węgiel — bez zamówienia, bez poparcia i bez pieniędzy staje do największego w owym okresie — myśla, porywem i rozmarami — dzieła. Powstaje monumentalny skrót historyczno-symboliczny.

Z ruiny fizycznej rozpadającego się trupa królewskiego, z doskonale rytmicznie ułożonych brył, mimo że symbolizujących pełny rozkład, z nadpotężnego, szczerzącego zębra tosu, przywołanego nagim czercepem — dźwiga się Król-Duch W panachy, surowy mocarz twórca dni przyszłych, odczuwający przez swe powitanie jakby ścianę gipsu zamykającego grobowiec i w ekstatycznym napięciu porywający miecz, który zdaje się łada moment wystrzelić w górę. Napięcie dramatyczne i pełne maia tu czystość i powagę najwyższej mary.

Ale chodźmy dalej. Aby mieć ogólną pojęcie o celokształcie twórczości Dunikowskiego, musimy naszym pobieżnemu przedawowi pewien chronologiczny porządek.

Praca dyplomowa artysty za którą otrzymał w Akademii Królewskiej złoty medal był portret artysty-malarza Szczygłowskiego. Warto na nim zatrzymać uwagę by zrozumieć jak długa była droga rozwojowa artysty. Ekspresyjny portret przedstawiciela cyganerii fine-de-siècle'u jest już zapowiedzią przyszłej twórczości rzeźbiarza, który jest jednym z największych w dziejach sztuki twórców i odwołującą dożył ludzkiej. Od ekspresyjnego portretu Szczygłowskiego droga do Kamieńca z pomnika Powstańców była długa...

Lata pierwszego dziesiątka dwa dziesiątego wieku, okres wszechwładnego panowania przybyszewszczyzny, odbija się w sztuce młodego twórcy, który walczy o własny, wyzwolony od wędrow epoki wyraz — obobim pesymizmem i fatalizmem, „Techniczne”, „Umierająca kobieta”.



Na czarnej posadzce sali muzealnej, stoją cztery ciężkie niewiasty, ich długie gipsowe szaty zbiegają aż do kamiennej ziemi. Stoją zadumane nad cudem nowego życia, nad pułkującym dróg wodzących w nieskończoność. Smutne, zakorkowane matki polskiego ludu. Wyraz rezygnacji i poczucie bezbronności wobec przeznaczenia uchwycił rzeźbiarz w każdej postaci inaczej. Każda forma podporządkowana jest tu treści psychicznej. Każdy kształt negatywny, spokojny, mów o życiu wewnętrznym „Brzemienne”. Stąd płynnie kompozycyjna świątynia z tych rzeźb, które oddać można z wszystkich stron, bo każda płaszczyzna, każda sylwetka i kształtem mówią o powadze i dostojności macierzyństwa.

„Kobiety brzemienne” były rękawicą rzuconą w twarz seksu znowy i erotyzmowi przybyszewszczyzny zatrważającej atmosferę sztuki ówczesnego pokolenia.

Obok stoi „Ewa II” (drzewo), siostra „Brzemienne”. Ta proletariacka „Ewa” wstrząsa romantycznie podaną prawdą o losie matek z suteryn i poddaszy.

Pierwsze lata powojenne przynoszą szereg znakomitych portretów. Nie znaczy to jednak iż nie powstały one i wcześniej. Architektoniczny portret Maczyńskiego pochodzi z 1912 roku. Jeszcze głębiej w charakterze — art dram. Kamińskiego z roku 1907. Teraz jednak tworzy ich artysta cały szereg: Mickiewicza, Polki, Januszewskiego, Bolszewika, Sary i in.

W tym też czasie powstaje również wywołujący skandal w Paryżu „Autoportret”. Jest to śmiały w symbolicznym hymn o sobie samym. Mocarz o dwóch twarzach, zapatrzony równocześnie w słońce i w ziemię, porusza się naprzód tanecznym ruchem. Cechuje go siła i swoboda. Jest to jednak bardziej literatura niż rzeźba.

W latach 1925—1928 pracuje nad najszcześliwszym z zamówień, jakie w życiu otrzymał. Powstają „Głowy wawojskie”. Jest to obok „Brzemienne” i później powstałych „Czterech ewangelistów” najpotężniejsze dzieło artysty. Zastanawia — jak artysta, który przeżył wszystkie style, uchronił się przed eklektycyzmem.

A już podziwiać trzeba jego bajecznie wprost panowanie nad formą, stylem i charakterem dzieła w „Głowach wawojskich”. Tych kilkadziesiąt głów utrzymanych w renesansowym charakterze, to jedna z najwspanialszych galerii polskich charakterów. Współcześni Dunikowskiemu, dostojni mężowie miasta dostali się dzięki artyście między koronowane głowy, traktowane z równą lekkością i pewną ironią, co portrety society krakowskiej.

Na dużą uwagę zasługują rzeźba religijna. Ma ona w twórczości X. Dunikowskiego szczególnie miejsce. Pierwsze bowiem publiczne zamówienie otrzymał od jezuitów krakowskich (1912).

Geniusza w Dunikowskim poznał również biskup Lisiecki, który powierzył mu wykonanie płaskorzeźby dla Seminarium Śląskiego, szeregu religijnych pomników, portalu katedry śląskiej i wreszcie swego portretu. „Czterech ewangelistów” powstałe w okresie 1927—1929. Jest to szczytowy okres osiągnięć artysty. Interpretacja tematu religijnego jest tylko pozornie konwencjonalna. Czterech apostołów zbliżył do twardego ludu śląskiego bardziej, niż — zdawałoby się mogło — uczynić to może artysta rzeźbiarz. Zrobił ich bowiem braćmi tych czarnych, hartowanych w trudzie ciężkiej walki o chleb górników i hutników.

Po wyjściu z obozu oświęcimskiego i rocznym pobycie w szpitalu rozpoczął prof. Dunikowski pracę nad monumentalnym pomnikiem Powstańców Śląskich. Zwięzłość w plastycznym wyrażaniu się artysty doszła tu do szczytu. Sama jednak architektoniczna strona projektu budzi pewne zastrzeżenia. Czemu walki artysta tak dalece posuwa egipszowanie. Cztery potężne, połączone u szczytu granitocelupy zdobione płaskorzeźbą, zbyt dalece przypominają świątynie egipskie.

Talent twórczy Xawerego Dunikowskiego nie przeszedł bynajmniej, zenitu. Rozmach, z jakim artysta przystąpił do realizacji pomnika Powstańców, pozwala nam spodziewać się, że artysta wiele jeszcze wartości wniesie do polskiej plastyki.

Aleksander Gella